Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 15. Lutego 1880 r. **Tom X.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 7.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

W SPRAWIE „MACIERZY POLSKIEJ"

Na dziwną jakąś obojętność dla sprawy oświaty ludu, zakrawa zupełny brak dyskusji publicznej o instytucji tak doniosłej jak przyszła „Macierz Polska." Z entuzjazmem przyjęto pierwszą wiadomość o ofiarowanym podczas jubileuszu J. I. Kraszewskiego znacznym funduszu na polskie wydawnictwa ludowe. Z wdzięcznością dowiedziano się z pisma czcigodnego jubilata, iż krząta on się gorliwie około wprowadzenia w życie instytucji oświaty ludu, o fundusz taki opartej. Ale gdy sam Kraszewski za pośrednictwem *Tygodnika ilustrowanego* zarys projektu swego poddał pod dyskusję publiczną, gdy sam dyskusji takiej zażądał, ażeby co w końcu postanowionem będzie, znalazło w opinji ogółu dobrze przysposobiony grunt i było dojrzałym owocem powszechnej niejako myśli — wezwanie to pozostało bezskutecznem, a prócz głosów co do samej nazwy przyszłej instytucji, nikt się nie odezwał z jakiemi wnioskami. Nie przydaje się na nic dociekanie, co może być milczenia tego powodem. Lepiej milczenie przerwać, a tem samem może i innych do zabrania głosu spowodować. Wyrywam się więc na ochotnika, w nadziei, że mi w *Tygodniu* miejsca nie odmówicie. A choćbym tylko to osiągnął, że wskutek moich uwag poda ktoś lepsze i praktyczniejsze, a moje odrzucone zostaną — znajdę zupełne zadowolenie w tem, iż się dobrą sprawę o krok naprzód posunęło. Zauważyć jeszcze muszę, że to co z projektu p. Kraszewskiego podał *Tygodnik ilustrowany*, jest szkicem tak ogólnikowym, iż właściwej szanownego inicjatora myśli co do zasadniczych nawet podstaw przyszłej instytucji, odgadnąć nie dozwala. Być może więc, że w uwagach moich odbiegnę za daleko od jego pomysłu — być może także, iż to lub owo niepotrzebnie podniosę, jako już projektami jego objęte. Wszakże ani w pierwszym ani w drugim wypadku rzecz sama na tem nie straci. Bo dyskusja o punktach spornych, jak i stwierdzenie zgodności w innych, będzie nie bez pożytku. Pierwsza może sprawę wyjaśnić, druga podaniem nowych motywów utrwalić to, co już postanowiono.

Co do nazwy, — która jest pierwszym w tej sprawie spornym przedmiotem — zgadzam się zupełnie z wnioskiem p. K. P. w *Tygodniku ilustrowanym,* ażeby pozostać przy pierwotnej nazwie „Macierz polska" Oddaje ona dobrze myśl tej instytucji — a chociaż może teraz jeszcze kogo razi, to jednak przyjmie się łatwo, jeżeli tylko instytucja będzie ruchliwą i żywotną. Zresztą — lepszej nazwy nikt dotąd nie podał, a wszelkie „skarbnice" lub „ule" nie odpowiadają założeniu.

Głównemi zaś punktami, nad którem zastanowić się wypada, są: 1) zakres działania „Macierzy" — 2) jej prawny charakter — 3) skład zarządu — 4) możliwe jej zabezpieczenie na wszelkie zmienne koleje losu. Rzecz musi być tak ułożona, ażeby z funduszów jakie na instytucję tę wpłynęły lub jeszcze wpłyną, był jak największy możliwy użytek dla sprawy oświaty; zarząd powinien dawać rękojmie jak najlepszego kierownictwa — prawny charakter instytucji należy określić w sposób zupełnie jasny, aby w obec istniejących władz niepotrzebnych uniknąć trudności — nakoniec należy byt instytucji tak utrwalić, ażeby żadne zmiany w politycznem położeniu kraju nie zdołały jej zachwiać, a w najgorszym razie żeby przynajmniej kapitał na przyszłość zachowano.

Co do zakresu działania, to hasłem niejako powszechnem jest, iż Macierz polska ma się zająć *wydawnictwem ludowem.* Należy to jednak bliżej określić. Czy tylko lud *wiejski* mamy mieć na oku? Czy zatem n. p. w zakres praktycznych wiadomości, któreby wydawnictwo Macierzy obejmowało, ma wejść tylko rolnictwo z wykluczeniem rękodzieł i przemysłu? Czy wykluczyć należy wydawnictwa takich książek, które wśród ludu rolniczego *teraz* jeszcze mało znajdą czytelników, ale mogą ich znaleźć bardzo wielu w miastach i miasteczkach? Takiej jednostronności zarys projektu słusznie unikać się zdaje. Nie odpowiadałaby ona przedewszystkiem naszym stosunkom. Między wsią a przedmieściem, między przedmieściem a miasteczkiem i miastem nie masz przepaści — jest wolne i stopniowe przejście tak, że trudno pociągnąć ścisłą granicę między potrzebami intelektualnemi jednych a drugich. Przedmieszczanie naszych miast trudnią się najczęściej i rolą i rzemiosłem — są całe miasteczka, w których prócz tak zwanej inteligencji zresztą cała ludność obok rzemiosła uprawia rolę — są wsie, które obok uprawy roli trudnią się rękodziełem. Mamy więc bardzo znaczną część ludności, którą formalnie tylko ale nie według istotnego stanu rzeczy nazwać można wiejską lub miejską. Jeżelibyśmy przeto wyłącznie tylko rolniczą ludność i potrzeby jej zawodu mieli na oku — to znaczną część zadania oświaty ludu pozostawimy niespełnioną. Dalej przyzna każdy, że potrzeba szerzenia oświaty za pomocą tanich wydawnictw nie mniejszą jest wśród ludu miejskiego jak wśród włościan. Rzemieślnik w miasteczku, który ukończył szkołę ludową, tak samo jak włościanin zapomni czego się w szkole nauczył, jeżeli książki do ręki nie weźmie — a nie weźmie on i wziąć nie może innej, tylko *tanią.* Co więcej, sądzę że przez miasta i miasteczka oświata nie mniej jak przez szkoły dociera do ludu wiejskiego. Tysiączne stosunki ekonomiczne i społeczne wiążą obie te części ludności — a podniesione intelektualnie miasteczka stają się mimowiednemi nieraz apostołami oświaty na całą okolicę. Nakoniec — wzgląd finansowy. Macierz powinna się starać o jak największe rozszerzenie swych wydawnictw, bo to pierwszy warunek ich taniości. Otóż gdyby jej się nadarzyło wydać rzecz, niewchodzącą ściśle w zakres wydawnictw dla ludu wiejskiego, a która jednak i pożyteczną będzie i rokuje rozejście się w kilku tysiącach exemplarzy — to sposobności takiej omijać nie powinna, a statut nie powinien jej tu stać na przeszkodzie.

Z tych więc przyczyn uważałbym jako odpowiednie takie określenie celu i zakresu działania Macierzy, aby była jak najmniej skrępowaną. Gdyby powiedzieć n. p., iż ma ona na celu wydawnictwo tanich książek, *przedewszystkiem* zaś dla ludu rolniczego i dla rękodzielników, to określenie takie odpowiedziałoby wszelkim powyżej poruszonym względom, a miałoby i to za sobą, że w razie znacznego wzrostu kapitału Macierzy, dozwalałoby jej zakres działania stosownie do środków rozszerzyć. Taka też zdaje się była intencja inicjatora. Zarys projektu p. Kraszewskiego podany przez warszawski *Tygodnik ilustrowany* wspomina w jednem miejscu o książkach „dla ludu i klas średnich“ — w innem powiada, iż „książki dla ludu zastosowane być winne do potrzeb rozmaitych prowincji, a także mieć na celu oświatę i uobywatelenie średnich warstw żydów polskich“.

Nasuwa się tu drugie pytanie: czy Macierz ma być *tylko* instytucją wydawniczą, więc poprzestawać na samem drukowaniu i sprzedawaniu książek, którym taniością ich i wewnętrzną wartością zapewni rozpowszechnienie — czy też część zysków swych ma obracać na zakładanie nowych, lub zasilanie książkami już istniejących czytelni ludowych, bibliotek szkolnych i t. p. Sądzę, że na razie poprzestać trzeba na pierwszem. Niech się czynność Macierzy skoncentruje, a będzie ona tem samem wydatniejszą. Niech cały jej dochód tak z procentów, jak z zysków (po potrąceniu stosownej części na kapitał żelazny) idzie na razie na same tylko wydawnictwa. Potrzeby pod tym względem są tak znaczne, literatura nasza ludowa w jednych swych gałęziach tak uboga, w innych tak wadliwa, że nawet wielkie fundusze jeszcze całej potrzebie nie wystarczą. Niech zaś kraj sam, niech zacne jego obywatelstwo miast i wsi, niech rady szkolne okręgowe i miejscowe, rady powiatowe i miejskie starają się o to, aby tanie i dobre książki, jakiemi będą wydawnictwa Macierzy, dostawały się do rąk ludu — niech się tworzą powiatowe stowarzyszenia oświaty, któreby zakładały czytelnie ludowe i kółka rolnicze. Słowem: Macierzy pozostawmy wydawnictwo — a całemu patrjotycznemu ogółowi, organom i reprezentacjom jego rozpowszechnianie dzieł, które zresztą sama Macierz ułatwi taniością i dobrocią książek.

Najtrudniejszą stroną kwestji jest prawne stanowisko Macierzy. Czy to ma być *fundacja*, czy *stowarzyszenie?* Zarys projektu powiada: „Funduszami Stowarzyszenia zawiadywać będzie rada wybieralna, złożona z 6 członków“, a zaraz o parę wierszy niżej: „Fundusz jest wieczysty, żelazny, i *nikt* nie ma prawa go naruszać“. Jeżeli ma być on wieczystym, żelaznym, dobrze ubezpieczonym, to musi koniecznie instytucja ta mieć w sobie coś z charakteru prawnego fundacji, inaczej bowiem nie może być wieczystość funduszu zapewnioną. Zobaczmy tedy, jakie są dodatnie i ujemne strony fundacji, a jakie stowarzyszenia, po czem szukać będziemy takiego sposobu załatwienia sprawy, aby połączyć dodatnie strony obu, ujemnych ile możności unikając.

Forma fundacji przedstawia tę korzyść, iż daje o wiele *większą gwarancję trwałości instytucji i nienaruszalności jej kapitału.* Stowarzyszenia czasem — przepraszam za wyrażenie — rozłażą się. Apatja jakaś, zniechęcenie padnie na kraj cały, ogarnie nawet gorliwszych, tak, że sprawy nie interesujące w bezpośredni, egoistyczny sposób, nie obudzają już zajęcia. Komplet się nie zbierze raz i drugi — stowarzyszenie popadnie w zupełną bezczynność. W końcu zaś — jak się stało z „Gwiazdą“ w Krakowie — władza stwierdza prawnie faktyczny stan rzeczy, i rozwiązuje stowarzyszenie. Przy fundacji jest to niemożliwem. Tu są ściśle określone obowiązki opiekuna fundacji, które dopełnione być muszą, a nad ich dopełnieniem w danym razie czuwają nawet sądy, a nie sama tylko, czasem bardzo pobłażliwa, opinia publiczna. Dalej fundacja jest bardziej niż stowarzyszenie zapewnioną na wypadek mniejszych politycznych przewrotów, reakcji jakiej i. t. p. Nawet konstytucyjne, ale reakcyjnie zabarwione ministerstwo może się puścić na rozwiązywanie stowarzyszeń, choćby nawet takie cele na oku mających, jak oświata ludu. Kiedy lwowskie stow. oświaty ludu chciało swój zakres działania na Szlązk austrjacki rozszerzyć, zabroniono mu tego, uznając je „politycznem stowarzyszeniem“, które według ustawy nie może filji zakładać!! A w razie rozwiązania fundusze nie zawsze są zupełnie bezpieczne. Na fundację zaś nie tak łatwo porwie się rząd, chociażby bardzo reakcyjny.

Ma jednak fundcja swoją ujemną stronę. Jest nią to, iż zazwyczaj nie ma ona czucia z prądami, jakie się w społeczeństwie wyrabiają. Zarząd jej, albo dożywotnio pewnym osobom poruczony, albo też oddany w ręce reprezentantów władz — ma zazwyczaj więcej oficjalnego niż obywatelskiego ducha, czuje się wyższym nad to, co w łonie narodu nurtuje, popada w zbytek konserwatyzmu, zamyka się i zaskrzepia raz na zawsze w pewnych utartych formach. Tego Macierzy nikt życzyć nie może. Od tego ochronić ją może forma stowarzyszenia — która jednak naraża znowu na niebezpieczeństwo wręcz przeciwne: na zbytnią zmienność. Wybierany co roku zarząd stowarzyszenia, może mu co roku inny nadawać kierunek, co gorsza, może je łatwo uczynić ofiarą partyjnych widoków. Wszak wiadomo, iż stronnictwa polityczne nie zamykają swej działalności w czysto politycznych granicach, ale rzucają się na wszelkie pola życia publicznego, najchętniej zaś na stowarzyszenia, przedstawiające wyborny środek podniesienia wpływu i znaczenia stronnictwa. I ani się temu dziwić należy, ani się godzi brać to za złe stronnictwom. Tak się dzieje w całym świecie. Ale powiecie: z *taką* instytucją jak Macierz nikt nie zechce tak postąpić. Wierzę bardzo — a raczej chcę wierzyć — ale właśnie dla tego, ze o *taką* instytucję chodzi, trzeba być trochę pessymistą, trzeba i złe przewidywać i przeczuwać i obmyśliwać środki ubezpieczenia. Ostrożność, chociażby i pessymistyczna jest tu obowiązkiem.

Podnieść tu jeszcze należy jedną dodatnią stronę stowarzyszenia, jakiej fundacja nie przedstawia: Fundacja nie pomnaża ani kapitału żelaznego ani funduszów, obrotowych inaczej, jak tylko procentem od kapitału, a w danym razie zyskiem z wydawnictwa, który jednak będzie tu bardzo mały, skoro według projektu p. Kraszewskiego książki mają być sprzedawane tylko o 10% wyżej kosztów produkcji. Przeciwnie stowarzyszenie — tak popularne, jak to, któreby się około Macierzy skupiło, i z niewysoką roczną wkładką, może mieć bardzo znaczną liczbę członków, a wkładkami ich pomnażać obrotowy a może nawet i żelazny kapitał.

Te są korzyści i te wadliwe strony fundacji a stowarzyszenia. Mniemałbym, że można połączyć pierwsze a uniknąć drugich, zapomocą następującej organizacji:

Utworzyć *fundację Macierzy Polskiej* z kapitałem, jaki szanownemu inicjatorowi na ten cel powierzono, i zgodnie z jego projektem zarząd jej poruczyć Wydziałowi krajowemu we Lwowie. Wszakże fundacja miałaby *tylko* ten cel, ażeby procentem od kapitału żelaznego zasilać corocznie *stowarzyszenie Macierzy Polskiej,* założone na podstawie statutu, który do aktu fundacyjnego byłby załączonym, i tworzyłby integralną część tego aktu. W akcie fundacyjnym można zastrzec, iż niektóre artykuły statutu, n. p. określające cel stowarzyszenia i skład jego zarządu, mogą ulec zmianie tylko w tym wypadku, jeżeli tę zmianę oprócz Stowarzyszenia samego przyjmie także i zarządca fundacji, t. j. Wydział krajowy. Należałoby dalej zastrzec, że gdyby *stowarzyszenie Macierzy Polskiej* z jakiegokolwiek powodu i w jakikolwiek sposób (dobrowolnem czy przymusowem rozwiązaniem) istnieć przestało, w takim razie własność wydawnictw jego i cały ffundusz z wszelkiemi zapasami i zaległościami czynnemi przechodzą na *fundację* Macierzy Polskiej, a Wydział krajowy ma wówczas sam zająć się wydawnictwem w myśl statutu byłego stowarzyszenia. Gdyby jednak stowarzyszenie kiedykolwiek było reaktywowanem na podstawie pierwotnego jego statutu, obejmie ono znowu zarząd wydawnictw, i znowu mu będą na ten cel wypłacane odsetki z kapitału fundacji. Ale — i Wydział krajowy nie jest nieśmiertelnym. Kto wie, kiedy on i komu ustąpi miejsca. Może to się stanie w sposób taki, że sam Wydział dzień skonu swego święcić będzie jako radosną uroczystość i znajdzie następcę, któremu z pełnem zaufaniem i radością odda wszystko, co dotąd jego rękom powierzonem było. Mogą jednak także zajść reakcje i zmiany konstytucyjne, które albo stanowcze zniosą Wydział krajowy, albo zastąpią go czemś zgoła krajowi naszemu obcem. A może... może przyjdzie burza taka, że zmiecie i Wydział i gmach sejmowy wraz z salą obrad, i kasę nawet z wszelkiemi fundacjami... Otóż na wszelki, dobry czy zły wypadek, bardzo pomyślny czy bardzo fatalny — nie pozostawałoby nic innego, jak tylko pewien stopień zaufania do ostatnich członków ostatniego galicyjskiego Wydziału krajowego! Niech zatem akt fundacyjny orzeknie, że gdyby Wydział krajowy jako obierana przez reprezentację kraju władza, kiedykolwiek i w jakikolwiek sposób zniesionym został, członkowie jego wówczas urzędujący postanowią o sposobie ubezpieczenia kapitału tak, aby przedewszystkiem całość jego zapewnić, a zarazem ile możności używać dochodów jego i nadal na cele, statutem stowarzyszenia Macierzy polskiej wskazane.

W ten sposób możnaby dać zupełną — o ile to w mocy ludzkiej — gwarancję całości i wieczystej trwałości funduszu żelaznego, a zarazem przez utworzenie stowarzyszenia ochronić Macierz od owego zastoju i braku łączności z prądami opinji, w jakie bardzo łatwo popadają wieczyste fundacje. Zobaczmy teraz, jaką organizację nadać stowarzyszeniu, aby mu zapewnić wszelkie dodatnie a usunąć zwykłe ujemne strony stowarzyszeń.

Owóż przedewszystkiem uczynić je przystępnem, ażeby znaczna ilość członków zapewniała większe dochody. Sądzę, że przy wielkiej popularności celu Macierzy, a wyjątkowej, bez-

przykładnej i tak bardzo zasłużonej popularności, jaką ma szanowny jej inicjator, można przy oznaczeniu wkładki na 2 zł. w. a. rocznie, liczyć na *bardzo* znaczną ilość członków i nie małe dochody, któreby zapewniały stowarzyszeniu dostateczny fundusz obrotowy. Możeby też nie zaszkodziło przyznać członkom pewien opust z ceny książek, przez co zachęciłoby się ich do zakupowania książek na nagrody szkolne, na zasiłki dla różnych miejscowych czytelni, bibljotek, stowarzyszeń i t. p.

Organizacja Macierzy powinna być ile możności prosta. Filje powiatowe byłyby zupełnie zbyteczne, jeżeli Macierz ma się zajmować *tylko* wydawnictwem, a nie zakładaniem czytelni i bibljotek. Gdyby wszakże i to wciągnięto w zakres działania, czego nie mógłbym doradzać, filje stałyby się nieuniknionemi. Zaś jako czysto wydawnicza instytucja, mogłaby Macierz poprzestać na zamianowaniu delegatów na okolice lub miejscowości, do zaciągania członków i odbierania od nich wkładek.

Skład zarządu powinienby być taki, aby w nim był reprezentowany i element pewnej ciągłości (albo jeżeli kto tak chce koniecznie: konserwatyzmu) i żywe odczuwanie wszelkich nowych a żywotnych w społeczeństwie prądów. Otóż przyjmując podaną w projekcie liczbę 7 członków zarządu wyobrażam sobie skład jego jak następuje: Jednym z członków byłby dożywotnio Józef Ignacy Kraszewski, jak sam w projekcie swym zastrzega i do czego najzupełniejsze ma prawo. Jest i najsłuszniejsza, i dla instytucji samej najużyteczniejsza, aby inicjator jej był jej duchem opiekuńczym. Wszakże poszedłbym jeszcze dalej — i zapytał: a któż po nim? Odpowiedź sama się nasuwa: Niech Kraszewski za życia wyznaczy, albo swego następcę, albo też *instytucję* jaką, któraby tego następcę — daj Boże, po wielu dopiero latach — zamianowała. W ten sposób, póki Macierz istnieć będzie, zawsze w niej będzie Kraszewski zastąpiony, a nie wątpię że zastąpiony godnie — zawsze w niej będzie zasiadał jeden członek, który się czuć będzie moralnym spadkobiercą inicjatora. Dalej sądzę, że Wydział krajowy, który będzie zarządzał fundacją, będzie z niej zasilał stowarzyszenie, a któremu zresztą inicjator chce całą instytucję dać pod opiekę, powinien mieć jeden głos w zarządzie, dla utrzymania łączności między fundacją a stowarzyszeniem, dla reprezentowania niezbędnego w niem elementu ciągłości. Wydział krajowy zatem mianowałby jednego członka zarządu czy to z grona członków Wydziału czy też i z poza niego. I jeszcze jednego członka zarządu proponowałbym mianowanego nie przez walne zgromadzenie stowarzyszenia. Istnieje we Lwowie od dłuższego czasu komitet wydawnictwa książek ludowych pod przewodnictwem czcigodnego a wielce zasłużonego p. Alfreda Młockiego. Komitet ten bez wielkiego hałasu i reklamy wydał kilkanaście ludowych książek, ze wszech miar wybornych, wzorowych, o wysokiej i moralnej i praktycznej wartości. Była tam i nauka chowu bydła i opowiadania z dziejów, i praktyczne rady co do urządzeń gminnych, i żywoty zasłużonych w narodzie, a i teraz o ile wiem, są już nowe manuskrypta do druku przygotowane. Po upadku Towarzystwa oświaty ludowej, komitet ten mrówczą skrzętnością utrzymał nieprzerwaną tradycję pracy na tem polu, bez żadnego z zewnątrz poparcia. Słuszna — aby delegat jego zasiadł w zarządzie Macierzy, i dalej tam ową tradycję reprezentował i przechowywał. Gdyby zaś komitet miał się kiedy rozwiązać, a może i zlać z nową instytucją, przekazując jej swoje wydawnictwa i wszelkie aktywa — byłoby nie mniej słusznem, aby miał prawo i na ten wypadek swego zastępcę i moralnego niejako sukcesora oznaczyć. Kto w czasach zupełnego zaniedbania pracy nad wydawnictwami ludowemi rąk nie opuścił i sam jeden wytrwał — temu sądziłbym że się stanowisko takie w przyszłej instytucji wydawniczej należy. Pozostałoby więc jeszcze czterech członków zarządu, których wybierałoby walne zgromadzenie stowarzyszenia „Macierzy“ w ten sposób, iż z czterech wybranych na pierwszem zgromadzeniu ustępuje z końcem pierwszego roku dwóch przez losowanie, a w ich miejsce odbędzie się nowy wybór, po czem co roku ustępują ci, którzy już przez dwa lata urzędowali. Ustępujący mogą być ponownie wybrani. Jest to norma w bardzo wielu stowarzyszeniach i instytucjach przyjęta, a ma ona tę wielką zaletę, że nie dozwala nigdy wprowadzić naraz wielu nowicjuszów, ze sprawami stowarzyszenia zupełnie nie obeznanych.

Zdawałoby mi się, że taki sposób wyboru i taki skład zarządu odpowiedziałby wszelkim wymaganiom, tem bardziej, jeżeli się zarząd statutem upoważni do zapraszania na swe posiedzenia i pociągania do swych prac osobistości z po za grona zarządu. Nie wątpię, iż miałby wówczas zarząd dostateczne a kompetentne siły do ułożenia jakiegoś systematycznego planu pracy i do wykonania go, do osądzenia, jakie wydawnictwa są najpotrzebniejsze a jakie można na drugi plan usunąć, do ocenienia manuskryptów itp. Połączenie pewnych konserwatywnych i stałych elementów z żywiołem ruchliwym i zmieniającym się, da zarządowi tę konieczną zaletę, iż nie spuszczając z oka ciągłych i trwałych potrzeb, nie zapomni jednak także o potrzebach chwili; iż ustrzec się zdoła od wszelkich w wydawnictwie ludowem szkodliwych skrajności, ale też zabezpieczonym będzie od zaślimaczenia się; iż potrafi zachować konieczną jednolitość działania obok nie mniej koniecznego w niem postępu, rozwoju, doskonalenia.

Nie chcę twierdzić, aby nie mogły się znaleźć inne jeszcze, lepsze od podanych przezemnie sposoby zorganizowania zarządu, któryby te właśnie zalety w wyższym posiadał stopniu — ale też mniemam, iż zalety te są koniecznym warunkiem pomyślnego działania, i ta organizacja będzie najlepszą, która je w najwyższej mierze zapewni. I nie myślę, abym w tych wnioskach zbyt daleko odbiegł od myśli szanownego inicjatora — wszak i w jego projekcie, obok wybieralnych członków zarządu jest oraz najsłuszniejsze zastrzeżenie co do jego dożywotnego głosu, jest także mowa o opiece Wydziału krajowego.

W każdym zaś razie radzę, iż należałoby wziąć pod rozwagę i dyskusję, ową myśl utworzenia osobnej fundacji, dla zupełnego zabezpieczenia kapitału, a stowarzyszenia dla samej czynności wydawniczej i dla mnożenia funduszów. Głos jakiego praktycznego prawnika w tej sprawie byłby ze wszech miar pożądanym.

Szkic z projektu p. Kraszewskiego, zamieszczony w *Tygodniku ilustrowanym*, zawiera jeszcze niektóre szczegóły, co do których możliwa jest pewna różnica zdań. Czy nie za wiele usuwa się z obrotu, oznaczając, iż połowę „wpływu“ ze sprzedaży książek (a więc całego dochodu *brutto*) przyłącza się do funduszu żelaznego? i czy nie byłoby lepiej zamiast tego dać funduszowi obrotowemu połowę odsetek, a drugą połowę przyłączyć do żelaznego? Wtedy unika się nieustannych między jednym a drugim funduszem rozliczań, a co raz weszło w obrót, już w nim pozostaje i tem samem szybciej zwiększa środki działania. Te wszakże pytania rozstrzyga już rachunek a przedewszystkiem cyfra ofiarowanego na Macierz kapitału i spodziewanych odsetek. Również nie śmiałbym twierdzić czy wystarczy przy oznaczeniu ceny książek doliczać tylko 10% do kosztów produkcji — wszak bez księgarzy wydawnictwo się nie obejdzie, a w owych 10% księgarski rabat żadną miarą się nie zmieści. Orzeczenie, iż rada nadzorcza urzęduje bezpłatnie, jest najsłuszniejsze i konieczne — postanowienie zaś, że koszta administracji nie mogą przewyższać $^1/_5$ części odsetek, musi się opierać na obrachunku, którego podstawą jest nieznana nam dotąd cyfra przyrzeczonych na ten cel datków. Zupełna też zgoda na to, iż statut nie może być zmieniony przed upływem lat 10 — wszakże w razie utworzenia według powyższych wniosków fundacji obok stowarzyszenia, musiałoby jeszcze wejść postanowienie, iż niektóre artykuły statutu mogą być zmienione tylko za zgodą opiekuna fundacji, t. j. Wydziału krajowego.

Tyle na teraz. Będę bardzo rad, jeżeli uwagi moje wywołają jaką odpowiedź, choćby tą odpowiedzią miało być zupełne odrzucenie moich wniosków. Ustąpię z niemi chętnie przed każdym lepszym wnioskiem. I tylko raz jeszcze powtarzam: obmyślając organizację tak doniosłej na przyszłość instytucji, jaką jest „Macierz Polska“ potrzeba przedewszystkiem wielkiej ostrożności, potrzeba możliwe niebezpieczeństwa przewidywać i od nich się ochronić — potrzeba wreszcie koniecznie zachować pewną miarę konserwatyzmu, nie zamykając niczem drogi do postępu, do rozwoju, do łączności przyszłej instytucji z życiem i jego nowemi prądami. Jeżeli tę zasadniczą myśl zachowamy na oku — pewno się dla niej znajdzie odpowiednia forma. A o ile mogę wnioskować z tego, co szanowny inicjator dotąd w tym przedmiocie pisał, to i on nie inną się myślą kieruje.

We Lwowie 7. lutego 1880.

Tadeusz Romanowicz.

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

(Ciąg dalszy.)

Mało to zapewne obchodzić może czytelnika, jak długo trwała konferencja dr. Mitręgi z p. Kosturskim, i przez jakie przechodziła fazy i zawikłania. Powiem więc tylko, że skończyła się pomyślnie, a przynajmniej tak wnosić wypadało ztąd, że wkrótce potem p. Kosturski formalnie i uroczyście oddał w ręce dr. Mitręgi władzę nad telegramami, sprawami zagranicznemi, ekonomią polityczną, kroniką, literaturą, sztukami pięknemi, korektą, drukarnią i kasą, tj. w ogóle nad całym tym skomplikowanym aparatem, który służy do oświecania i kierowania opinii publicznej.

*

Nie zostawało dr. Emanuelowi nic więcej do załatwienia, jak tylko postarać się o »świeże siły« redakcyjne, czyli, jak się wyrażał, zreformować całe ministerjum *de fonden compte* (co miało znaczyć: *de fond-en comble*) W tym celu, zdegradował dotychczasowego stróża redakcyjnego na wice-stróża, a na jego miejsce zamianował tymczasowo świeżo zaangażowanego Marcina, który tym sposobem naraz aż w trzech kierunkach działać miał ku pożytkowi społeczności ludzkiej, mianowicie w kierunku sportu, gastronomii, i prasy perjodycznej — powożąc redaktora, usługując mu do stołu, i anonsując znakomitszych gości, zwiedzających biuro redakcyjne. Następnie rozkazał nowy doktor-redaktor, ażeby na drukującym się właśnie numerze *Orędowniczki* położono na czele: »Właściciel, wydawca, i dyrygujący redaktor: dr. Emanuel Mitręga«. Polecił także wydrukowanie manifestu do abonentów, z którego wynikało, że *Orędowniczka* iść będzie dalej w myśl dotychczasowych zasad swoich politycznych, ale starać się będzie podawać je w formie, jak najbardziej eleganckiej i skończonej pod względem literackim. Na nieszczęście zapomniał przejrzeć numer zredagowany przez p. Kosturskiego, i tak się jakoś zeszło, iż zaraz pod tą zapowiedzią wyczytać można było, co następuje:

»Jako *curiosum* donosimy, że znany łgarz bez czci i wiary, Pałkiewicz, redaktor cuchnącego nawozem piśmidła, mieniącego się *Postępem Wilkowskim*, zamierza stawać jako kandydat na ambasadora naszego miasta w Krachenburgu. Dowodzi to tylko, jak nisko osławione te indywiduum upadło pod względem moralnym, jeżeli sobie wyobraża, że takiego *szurgota, kulfona i łapserdaka*, jak on, nie wyrzuconoby za drzwi, gdyby się tylko pokazał w przedpokoju ministra, posiadającego łyżki srebrne«.

Prawda i to, że tego samego dnia czytano w *Postępie:*

»Między innymi wzdycha się do godności kandydata pewien niegramatyczny kondel, *brechający* na słońce w pewnej drukowanej ścierce, której, szanując uszy czytelnika nie wymieniamy. Brysiowi temu ma być na imię Kostuś, zapewne od *kosturów*, na które obficie zasłużył«.

Jak widzimy, *Postęp* pieprzył swoje wycieczki kalamburami i dowcipami, podczas gdy *Orędowniczka* waliła, jak to mówią, prosto z mosta—skutek był wszakże jednaki. Faktem było, że te dwie wielkości, Kosturski i Pałkiewicz, tak były do siebie podobne, iż na żaden sposób jedna drugiej znosić nie mogła — Wilków był dla nich za mały, bo wszystko w nim dwoili. Pałkiewicz był dyrektorem jednego towarzystwa muzycznego, a Kosturski drugiego. Pałkiewicz dowodził, że Bazgralski jest największym żyjącym malarzem, a Kosturski miał swego Fuszerskiego, o którym twierdził to samo.Pałkiewicz wychwalał pod niebiosa panią Kokockę, czterdziestoletnią naiwność teatru wilkowskiego, a Kosturski wylewał jeziora i rzeki atramentu na cześć panny Miauczyńskiej, która miała półtora łokcia wzrostu i jako dziewica Orleańska wołała na scenie flażeoletowym sopranem: »*Prze boskiej pomoce zwalczemy* wroga«. Jednem słowem, każdy z nich miał swoich artystów, literatów, adwokatów, traktyerników, lekarzy, muzykantów, śmieciarzy, i tym sposobem Wilków, mając już i bez tego do walczenia z Sokołowem, w dodatku walczyć musiał sam z sobą, pod dowództwem Pałkiewicza z jednej, a Kosturskiego z drugiej strony.

W tej chwili atoli, dr. Mitręga nie zwracał uwagi na te wszystkie szczegóły. Cały dzień prawie był w raju, tj. w koczu zaprzężonym szpakami, powożonemi przez Marcina. W przerwach, zainstalował ten raj w hotelu, gdzie i sobie kazał dać dwa duże frontowe pokoje na pierwszem piętrze, poczem zszedł na dół do restauracji na obiad, postarawszy się poprzednio o to, ażeby Marcin co chwila wchodził tam z jakimś raportem do »jaśnie« pana barona. Zwróciło to uwagę powszechną, w sposób niekoniecznie korzystny dla nowego władcy *Orędowniczki*, Marcina i szpaków. Bohater nasz spostrzegł się i uznał za potrzebne wytłumaczyć znajomym, w jaki sposób został baronem.

— Oryginalny ten mój Marcin! Umie trochę czytać, to jest, zna parę liter, z widzenia. Otóż zobaczywszy na moim bilecie: *dr*. Mitręga, ubrdał sobie, że *dr*. a *br*. to wszystko jedno, i że to znaczy: baron, bo dawniejszy jego pan, Ajwajkowski, był także baronem, a pisał się: br. Ajwajkowski. Nie ma sposobu wybić mu to z głowy!

Dr. Mitręga miał jednak w duszy nadzieję, że nie wszędzie tytuł dawany mu przez Marcina zrobi takie fałszywe wrażenie, jak w restauracji hotelowej, gdzie z natury rzeczy wszyscy wiedzą dokładnie, kto jest baronem, a kto nie. Potrzeba powyższych wyjaśnień nie popsuła mu tedy humoru, ale owszem, z najlepszą miną w świecie wskoczył w półgodziny później napowrót do swego kocza, ażeby w nim zawieść hr. Skirgiełłę na konferencję do dworku sekretarza Kluszczyńskiego. Był to już szczyt wszelkiego szyku, wozić *swoim* ekwipażem hrabiego, który miał mnóstwo zaprzęgów do swojej dyspozycji — ale okazało się to potrzebnem, bo konferencja odbywać się miała oczywiście w tajemnicy, a ekwipaże Palemonów - Skirgiełłów zbyt były znane w całem mieście.

Stronnictwo sekretarza, pobite przy wyborach do komitetu, zebrało się u niego w wielkim komplecie na wiadomość podaną od ucha do ucha, że hrabia Albin przybędzie na naradę. I — o dziwo! Ten sam sekretarz, i ci sami mężowie polityczni, którzy przedwczoraj skojarzyli się byli w jedną falangę przeciw dr. Ciemiędze, jako podejrzanemu o to, że jest figurą Skirgiełły, teraz jakoś niepospolicie zmienili ton mowy. Nie, żeby się skłaniali ku wyborowi Ciemięgi — na to byłby nigdy nie pozwolił Kosturski, zważywszy, że kandydaturę Ciemięgi postawił Pałkiewicz. Ale natomiast, wyrażali się bardzo oględnie i z pewnem uznaniem o hr. Skirgielle, i oczekiwali go z upragnieniem. Niech to nikogo nie dziwi ani gorszy, nietylko bowiem w Milicji i Landwerji nadzieja oglądania twarzą w twarz właściciela dobrze i suto pozłoconej tarczy herbowej zwykła sprawiać skutek podobny. Przytem, wiadomem było z ust dra Mitręgi, że hrabia Albin podziela najzupełniej zapatrywania się stronnictwa *Orędowniczki* na wojnę Laputańczyków z Beocjanami, i że ma zamiar wyłuszczyć plan olbrzymiej akcji, którą natychmiast rozpocząć należy. Wszystko drżało z niecierpliwości i zaglądało do okien, ile razy zaturkotał jaki powóz na drodze.

Tymczasem powiedziałem tylko, że dr. Emanuel wskoczył do powozu, ażeby zawieść hr. Skirgiełłę do p. Kluszczyńskiego, ale nie powiedziałem, co się dalej stało. Oto dr. Mitręga, wskoczywszy do swego kocza, wyskoczył z niego napowrót przed pałacem Skirgiełłów, i zapytał szwajcara:

— Jest hrabia?

— Nie, nie ma.

— Jakto, wyszedł?

— Nie wyszedł; wyjechał.

— Gdzie, dokąd?

— Wyjechał na polowanie na dziki, w górach Monomotapa.

— Ależ to być nie może! Miał przecież czekać na mnie dziś wieczór!

— Ba, kiedy wyjechał.

— Nie wiadomo przynajmniej, kiedy wróci?

— Nie wiadomo. Zapewne aż w jesieni. A może za dwa tygodnie. Pan hrabia nigdy nie wie, kiedy wróci.

— Ale ja mam pilny interes, muszę koniecznie widzieć się z hrabią.

— To może pan pojedzie za nim.

— A daleko to?

— Daleko i nie daleko; będzie ztąd piętnaście mil dyliżansem do Podolina, a ztamtąd w góry różnie, piechotą pięć mil, a konno dziesięć, dwanaście.

Nie moją rzeczą, jak to mówiłem na wstępie, wdawać się w prywatne sprawy wyższych sfer społeczeństwa, albo broń Boże, krytykować ich postępki. Zwracam więc tylko uwagę na to, że niespodziany wyjazd hr. Albina na polowanie, w chwili, gdy nabył aż dwa dzienniki i miał osobiście zainaugorować wielką i stanowczą akcję polityczną, mógł gwałtownie zdumieć dr. Mitręgę i wprowadzić go w nielada kolizję. Zamyślony, wsiadł napowrót do kocza i kazał nawracać, gdy naraz wybiegł lokaj z pałacu i zapytał:

— Przepraszam, czy nie pan dr. Mitręga?

— Tak.

— List od pana hrabiego do p. doktora, który nosiłem do hotelu, ale nie mogłem zastać... To mówiąc, doręczył p. Emanuelowi pismo, które ten rozerwał i odczytał skwapliwie. Brzmiało ono:

»Wyjeżdżam, nie wiem na jak długo. Rób pan tymczasem wszystko w mojem imieniu, i staraj się tylko, żeby stronnictwo czynu było górą. Gubi nas to zawsze, że zasypiamy najkorzystniejsze chwile, takie, jak n. p. obecna. Każdy myśli tylko o sobie, a sprawa publiczna cierpi na tem. Pamiętaj pan wytknąć to *Rakowi* i jego stronnictwu. Do widzenia. A. S.«

»*P. S.* Marszałek dworu ma dyspozycję wydać z piwnicy i ze spiżarni wszystko,

czegobyś pan potrzebował. Gdyby brakło pieniędzy, dostarczy ich panu adwokat Ściślewicz, który ma moje instrukcje.«

— No, zresztą—pomyślał dr. Mitręga — nie bardzo go tu i potrzeba. Idealniki są, a to grunt. Na sokołowskie przedmieście! — zawołał na Marcina.

Rozczarowanie sekretarza, gdy się dowiedział, że nie będzie miał zaszczytu przyjmować hrabiego w swoim domu, było wielkie. Podzielała je pani sekretarzowa, która miała nadzieję, że hrabia skosztuje jej konfitur, a może nawet pozwoli służyć sobie kawą. I panna Natalja nie była wolną od nieukontentowania, radaby bowiem była obaczyć hr. Skirgiełłę, o którym tyle mówiono, który miał być ideałem pięknego wielkiego pana, i który oprócz wielu innych przymiotów słynął także ze znawstwa pięknošci niewieściej. Najprędzej uspokoił się sekretarz, bo mu Mitręga szepnął na ucho, że hrabia wezwany został sztafetą do Krachenburga, gdzie w tej chwili rozstrzygały się kwestje wiekopomnej, dziejowej doniosłości. Chodziło nie mniej i nie więcej jak o wielkie przymierze Chaocji, Milicji i kilku innych mocarstw z Beocją. Tajemnica ta sama jakoś nieznacznie udzieliła się całemu zgromadzeniu, i wywołała wielki entuzjazm, zagrzewając wszystkie serca do wojny z Laputańczykami.

Nazajutrz komitet wyborczy zawezwał kandydatów, ażeby przyszli na zgromadzenie i wygłosili swoje wyznania wiary.

Pierwszy zabrał głos dr. Ciemięga i mówił przez dwie godziny, o stworzeniu świata, o rozmaitości znajdujących się na nim przedmiotów, i o tem, jak wszystkie te przedmioty kojarzą się w jedną całość, którą nazywamy przyrodą. W ten sposób powinny kojarzyć się państwa i ludy w jedne całość, która nazywać się będzie federacją. Póki nie będzie federacji, rodzaj ludzki nie będzie miał podobieństwa z przyrodą, a więc, ustrój jego będzie nienaturalnym.

Następnie pojawił się na trybunie Pałkiewicz, i oświadczył, że są wprawdzie zdrajcy, zaprzedani żydom, którzy nie uznają dobrodziejstw federacji, ale on, Pałkiewicz, od samej kolebki wiernie służy ojczyźnie i nigdy od nikogo nie brał pieniędzy, bo zamiast zaprzedać się, wolałby chodzić bez butów. Co mówiąc, podniósł jednę, a potem drugą nogę na wysokość pulpitu, i pokazało się, że *posiada* buty, i to tęgie buty, robione na urząd.

Zgromadzenie chciało się już rozchodzić, bo była pora dość późna, gdy nagle zabrał głos p. Kosturski. Oświadczył on, że niektórzy politycy mogliby w istocie pójść na sprzedaż, gdyby kto potrzebował butów, i że on zresztą także nie ma nic przeciw federacji, ale ponieważ ta nie jest na porządku dziennym, więc interpeluje dr. Ciemięgę, jak zamierza, na wypadek, gdyby był wybrany ambasadorem, zapatrywać się na wojnę Laputańczyków z Beocją?

Dr. Ciemięga odparł, że nie widzi potrzeby zapatrywania się na tę wojnę.

P. Kosturski wyrzekł, że da głos takiemu tylko ambasadorowi, który starać się będzie o to, ażeby Chaocja wraz z Milicją czynnie wystąpiła przeciw Laputańczykom.

Oświadczenie to wywołało burzę oklasków. Niezachwiany niemi dr. Ciemięga począł w dłuższem znowu przemówieniu wykazywać korzyści federalistycznego ustroju państwa, kuli ziemskiej i wszechświata. Co się zaś tyczy wojny z Laputańczykami, nie myśli nakłaniać do niej Chaocję, bo, jak mówił . . . .

. . . . . Zresztą, ambasador milicyjski w Krachenburgu powinien popierać rząd Chaocki, a ponieważ rząd ten nie życzy sobie wojny, więc i on, Ciemięga, życzyć jej sobie nie może.

Tym razem oklaski były bardzo skąpe, a sykania natomiast dały się słyszeć ze wszystkich punktów sali. Wyborcy rozeszli się w wielkiem rozdrażnieniu, w całem mieście sarkano na dr. Ciemięgę, któremu tylko mała bardzo garstka zwolenników została wierną. Nazajutrz zebrał się ponownie komitet wyborczy, ten sam, który dzięki przewrotności Śmiechowskiego wypadł był w myśl zwolenników Ciemięgi. Lecz wobec ogólnego stanu opinji sam Pałkiewicz nie miał odwagi popierać swojego faworyta, i kandydatura dr. Ciemięgi jednogłośnie upadła.

Teraz dopiero zaczęła się walka na noże. Pałkiewicz dysponował wprawdzie głosami większości komitetu, ale tylko póty, póki popierał kogo innego. Gdy się wysunął sam, okazało się, że nie jest tak bardzo popularnym. Przyszło do głosowania — połowa członków oświadczyła się za Pałkiewiczem, a druga połowa za Kosturskim. Trudno było przewidzieć, jak wypadnie wybór. Pałkiewicz chciałby był być ambasadorem, ale jeszcze bardziej bał się przegranej.

Wobec tego zamięszania, dr. Mitręga złożył nowy dowód dyplomatycznych swoich zdolności — poddał bowiem Kosturskiemu myśl, że nie chcąc dopuścić preciwnej partji do zwycięstwa, najlepiej jest zaproponować komitetowi kompromis na jakiego trzeciego kandydata. Nikt atoli nie domyślił się, że tym trzecim kandydatem mógłby być dr. Mitręga — a co gorsza, ta sama myśl kompromisu przyszła do głowy i Pałkiewiczowi, tylko że przyszła wraz z nazwiskiem kandydata.

Był w Milicji stary hidalgo, bardzo popularny, bo miał duże wąsy i każdemu mówił: ty, a jeździł zawsze czwórką w poręcz i chętnie jadał schab wieprzowy z śliwkami. Był on pensjonowanym majorem jakiegoś cudzoziemskiego komitetu, i nazywał się Bombogromski. Część jego popularności pochodziła także ztąd, że pewnego razu, gdy gończe psy hr. Albina Skirgiełły zapędziły się w jego knieję, to kazał je złapać, wymierzyć każdemu pięć harapów i odstawić na miejsce urodzenia. Świadczyło to o niezwykłej jego niezawisłości i energji, ale za to stosunki między nim a hr. Albinem były jaknajgorsze.

Ledwie Pałkiewicz szepnął po cichu: Bombogromski, gdy cały komitet, nie wyjmując Kosturskiego i sekretarza Kluszczyńskiego — krzyknął jednomyślnie: — Niech żyje Bombogromski!

Wyprawiono deputację do kandydata, któremu wiek sędziwy nie pozwalał stawić się na zebraniu. Nie był on mowcą, ale na zapytanie, czy będzie popierał wojnę przeciw Laputańczykom i przymierze z Beocją — odpowiedział pokręcając wąsa:

— Już ja im pokażę!

Radość Wilkowian nie znała granic. Nim się ocknął dr. Mitręga, pojawiły się na rogach wszystkich ulic plakaty tej treści:

»Obywatele!

Wasz komitet przedwyborczy poleca wam w tej nader ważnej dla kraju naszego chwili, na ambasadora do Krachenburga, walecznego majora Bombogromskiego.

Obywatele! Kto jest za bezpośredniem wypowiedzeniem wojny Laputańczykom, niechaj głosuje jak jeden mąż na obywatela majora Bombogromskiego.

Obywatele! Niech żyje major Bombogromski!

»Wilków dnia i t. d. (Podpisy trzystu członków komitetu).

Taki był pierwszy rezultat »akcji« rozpoczętej przez dr. Mitręgę i przez świeże siły, które wprowadził do redakcji *Orędowniczki*. Doniósł o tem sztafetą hr. Skirgielle, składając winę niepowodzenia na jego wyjazd niewczesny. (C. d. n.)

POGADANKA KOSMOLOGICZNA.

przez

B. Abakanowicza.

IV.

Ludzie posiadający wzrok dobry mogą naliczyć na naszym firmamencie gołem okiem do 5000 gwiazd. Oko widzi tylko te, które świecą tak silnie, iż ich promienie wystarczająco do odebrania wrażenia podrażniają siatkówkę oka naszego. Jeśli weźmiemy nie bardzo silną lunetę, to w jej polu widzenia, zobaczymy w niektórych okolicach nieba taką samą prawie ilość, jak gołem okiem na całem sklepieniu. I im bardziej będziemy używali silniejszych instrumentów, tem ilość gwiazd w danem miejscu będzie się zwiększała, chociaż pole widzenia staje się coraz mniejszem.

Nie na całem niebie znajdujemy jednakową ilość gwiazd. W drodze mlecznej, w drobnych nawet przestrzeniach widać ich tysiące, znowu w niektórych innych miejscach, w najlepszych nawet teleskopach jest ich kilka zaledwie.

Największe zasługi w liczeniu gwiazd przy pomocy teleskopu położyli Herschlowie, ojciec i syn. Jestto praca tak wielka, że jedno życie ludzkie na nią nie wystarcza. Robota taka może być prowadzoną tylko w przybliżeniu rachując średnią ilość gwiazd w pewnej przestrzeni.

Według Herschla ilość gwiazd w teleskopie widzialnych, wynosi przeszło dwadzieścia milionów.

Lecz ilość ta nie zawiera w sobie owego niezliczonego mnóstwa gwiazd, które w niektórych okolicach drogi mlecznej są tak zgromadzone, iż w najlepszych teleskopach widać tylko białą plamę, nie dającą się rozdzielić na pojedyńcze gwiazdy ją składające.

Cyfry te dają już nam pojęcie o olbrzymim rozmiarze przestrzeni, w której gwiazdy widoczne są zawieszone, szczególniej jeśli weźmiemy pod uwagę, jak daleko jedna z nich od drugiej jest odległą.

Odległości gwiazd od nas są tak olbrzymie, że je mierzyć prawie niepodobna i trzeba się opierać na prawdopodobnych rezultatach. Nie możemy się tutaj wdawać w szczegółowy opis metod mierzenia takich odległości, podamy więc tylko rezultaty, które otrzymano.

Bessel zajmował się oznaczeniem odległości jednej z gwiazd (61) wchodzącej w skład konstelacji Łabędzia. Jeżeli za jednostkę przyjmiemy średnicę drogi ziemskiej na około słońca, to ta gwiazda oddaloną jest przeszło 589.000 takich średnic. Światło, które się przesunie po przestrzeni z szybkością 300.000 kilometrów na sekundę, potrzebowałoby około dziesięciu lat, ażeby do nas dobiegło. Mogłyby więc nawet owe gwiazdy zaginąć, a mybyśmy jeszcze je przez lat dziewięć w dawnem miejscu na niebie widzieli.

Lecz pomiary tego rodzaju, i to dosyć wątpliwe, tylko dla bardzo niewielu gwiazd przeprowadzić można było. Inne leżą tak daleko, że o żadnej obserwacji zmierzającej do tego celu myśleć nie można. Wiadomo tylko to, że leżą one dalej, niż przestrzeń, którą światło przebiega w 32 latach! Bo przy mniejszych odległościach już można byłoby ich dystans w przybliżeniu odmierzyć.

Inną miarą do sądzenia odległości gwiazd jest ich jasność. Wiadomo bowiem, że im gwiazda dalszą jest, to przy równej wielkości świeci słabiej i to proporcjonalnie do kwadratów z odległości. Jeżelibyśmy więc przypuścili, że wszystkie gwiazdy mają wielkość jednakową, to z ich siły światła dochodzącej do ziemi, moglibyśmy wnioskować o odległości. Jednakże tak w rzeczywistości nie jest, bo przecież gwiazdy, które widzimy na niebie są w różnych stadjach swojego rozwoju, jedne jeszcze nadzwyczaj gwałtownie rozpalone, drugie stygnące, a więc i mniej światła wysyłające i dla tego tej miary trzeba z wszelką ostrożnością używać.

V.

Jednem z pytań, które od wieków narzucały się, jest, czy światy od nas odległe są zamieszkałe, czy życie organiczne nie jest ograniczone tylko do kuli ziemskiej? Do naszego czasu nikt nie mógł na serjo dawać na to odpowiedzi, bo jakżeż o tem sądzić możemy, czego nie widzimy i czego prawdopodobnie widzieć nie będziemy? Jedyna droga, która nas prowadzi do rozwiązania tej kwestji, jest wnioskowanie przez analogję z naszą ziemią. A jakżeż niepewnemi są wnioski, które z analogji wyprowadzamy!

To też odpowiedzi, które ludzie nauki na powyższe pytanie dają, są bardzo warunkowe i nieśmiałe. Nie każdy może twierdzić z taką pewnością o tem, czego nie widział, jak słynny Flammarion w swojem dziele: „Wielość światów zamieszkałych.“

Czemże jest życie? Jest zagadką wiekuistą, którą nikt nie rozwiązał i prawdopodobnie nie rozwiąże. Weźmy na oko jakieś najprostsze formy organiczne, najniższe żyjące istoty, które się składają jedynie z malutkiego kawałka galaretowatej i przezroczystej massy zwanej protoplasmą. Ruszają się one, żyją, rozmnażają, a w całej ich budowie nie widać ani jednego organu, jest tylko jedna, ruszająca się masa. Dla czego inny kawałek protoplasmy, zupełnie podobny do poprzedniego nie żyje? Dla czego on się samodzielnie nie rusza, nie rozmnaża, nie karmi? Co stanowi różnicę między niemi? Odpowiedź na to równie prosta jak nic nie mówiąca: — życie.

Otóż, jak uczy nauka przyrody, z takich małych i nieznacznych istotek powstał w przeciągu wieków cały świat organiczny. Jak tamte pierwsze istoty powstały – o tem nie wiemy, lecz najprawdopodobniejszem przypuszczeniem jest, że przez samorodztwo. Że w chwili, kiedy ziemia zaczynała ostygać, gdy powierzchnia jej nie była już rozżarzoną, wytworzyły się takie warunki, że powstały istoty żyjące. Zrobiło się takie skombinowanie chemiczne i fizyczne pierwiastków, które obdarzone zostało życiem.

Dla czegożbyśmy przypuścić nie mieli, że i na innych ciałach niebieskich takie same, lub podobne warunki, kiedyś się nie wytworzyły? Dla czegobyśmy nie przyjęli, że na niektórych takie pierwsze zapłodnienie organizmami dopiero w tej chwili się odbywa, a na innych znowu przez długie wieki wyrobiły się już istoty, które nas w rozwoju wyprzedziły w sposób nie do obliczenia. Wszystko to jest możliwem, prawdopodobnem, ale pewnem nie jest wcale. Jedna rzecz jest tylko pewna, to jest to, że jeśli się zbiegły gdzieś warunki do wytworzenia życia, to tam się ono pojawiło i w zupełności do tych warunków zastosowało. Nie dla istot organicznych bowiem istnieją te warunki, ale owszem organizmy do nich się zastosowują. Nie dla tego, że człowiek potrzebuje do swego oddychania takiej a takiej mięszaniny tlenu i azotu złożone jest w odpowiedni temu sposób powietrze, lecz człowiek ma narząd oddychania taki, który odpowiada temu składowi powietrza. Nie nos dla tabakiery, ale tabakiera dla nosa, powiada popularne przysłowie.

Otóż, opierając się na tym pewniku, możemy powiedzieć, iż jeśli na różnych światach istnieją organizmy, to są one zupełnie odmienne od naszych na ziemi i zupełnie przystosowane do miejscowych warunków.

Żaden z ludzi, ani żadna z istot organicznych pochodzących z naszej ziemi, nie wytrzymałyby w okropnej spiekocie na Merkurze, który leży bliziutko od słońca, jak również nie żyłyby na zimnym i odległym Uranie, z którego słońce wygląda już nie jako łuna, ale jako gwiazda na niebie.

O niektórych ciałach możemy powiedzieć, że nie ma na nich organizmów, a przynajmniej nie ma takich, o których moglibyśmy stworzyć sobie jakie takie wyobrażenie. Cóżbyśmy bowiem mogli umieścić na powierzchni rozżarzonego do białości słońca, gdzie nie ma ciał stałych, jak nie jakieś istoty duchowe, z par metalicznych złożone, a które tylko w fantazji powieściopisarzy à la Jules Verne istnieć mogą.

I na niektórych innych ciałach trudno sobie coś żyjącego wyobrazić. Naprzykład na księżycu. Powietrza jest tam tyle, ile pod kloszem pompy powietrznej, po długiem a silnem pompowaniu, wody nie ma wcale, we dnie temperatura nadzwyczaj wysoka, w nocy zniża się do 130 stopni niżej zera... jakież istoty, jakich *selenitów* tambyśmy umieścili?

Co innego na Marsie. Ta planeta jest niezwykle podobną do ziemi naszej i zdaje się, że gdybyśmy tam jakąś nadprzyrodzoną siłą zostali przeniesieni, to niezdziwilibyśmy się prawdopodobnie widokiem, któryby się nam przedstawił, tak mało by się on różnił od tego, który widzimy na powierzchni naszej ziemi.

W szeregu planet krążących naokoło słońca Mars zajmuje drugie po nas miejsce co do odległości, wpływ więc słońca mało się różni, od tego, jaki ta gwiazda dzienna na nas wywiera. Po księżycu, Mars należy do planet najlepiej zbadanych i wielu uczonych zajmowało się nim starannie. Schiaparalli w ostatnich latach wydał bardzo piękną topogra ją tej planety.

Żeby dobrze powierzchnię Marsa zobaczyć trzeba wyszukiwać stosownej chwili. Nie zawsze bowiem kiedy jest widzialnym atmosfera jego jest czystą. Często gęste i nieprzejrzyste obłoki zakrywają jego powierzchnię i kiedy tam jest słota wtedy z obserwacji nie wiele można mieć korzyści. To nie to co z księżycem, na którym nigdy nie ma chmurki, i którego profile wypukłości rysują się z zadziwiającą czystością.

Nieraz w lunecie widać na powierzchni Marsa niewyraźnie ograniczone plamy, które się przesuwają unoszone wiatrami. Gdy niebo jest czyste, wtedy na Marsie dostrzegamy kontury lądów i mórz. Najbardziej uderzającemi są jaskrawo białe plamy około biegunów. Już Herschel zauważył, że plamy te zmieniają swą wielkość stosownie do pory roku. Na lato są one najmniejsze, na zimę rozszerzają się znacznie i zaciągają aż do 45 stopni szerokości. Od razu narzuca się tu porównanie tych plam z naszemi lodami podbiegunowemi i śniegiem, który w zimie coraz dalej na południe się rozszerza. Zdaje się, iż nie ulega wątpliwości, że te plamy są takiego pochodzenia jak na naszej ziemi.

W piękne noce i przy sprzyjających warunkach atmosferycznych, można na Marsie odróżnić lądy i morza, które w wzajemnym stosunku inaczej się ukształtowały niż na naszej ziemi. U nas trzy czwartych jest wody, a tylko reszta lądu stałego. Tam prawie równa jej ilość co do powierzchni lądów i mórz a przytem, te ostatnie mają kształt odmienny i nie przedstawiają się w wielkich masach oceanicznych, lecz tworzą kanały między lądami w kształcie mórz śródziemnych łączących się z sobą. Dla rozwoju cywilizacji, rozkład taki jest bezwarunkowo korzystniejszym, bo komunikacja łatwiejsza.

Morza mają prawdopodobnie taki kolor jak i nasze, bo w lunetach przedstawiają się jako szarozielone powierzchnie odbijające bardzo wybitnie od czerwonożółtego koloru lądów, który widocznym jest w każdym miejscu marsowego kontynentu. To zabarwienie czerwonawe widocznem jest i dla gołego oka, bo Mars, wygląda jak różowa gwiazda, a pochodzenie tego koloru jest trudnem do wytłumaczenia.

KLEMENS BORUTA

przez

W. OKOŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Zbyt wina śpiących była w porę zaskoczona i zbyt surowy jej sędzia był pewnym efektu, ażeby nie miał ociągać się z rzuceniem gromu. Stał więc przez chwilę

na progu, mierzył Borutę i Brzosta wzrokiem, z którego przebłyskiwały uczucia gniewu, szyderstwa lub zadowolenia. Nareszcie, jak gdyby mu szczęśliwa myśl błysnęła, cofnął się na podwórze, a spostrzegłszy przechodzącego parobczaka, kiwnął na niego.

— Brzost leży chory — rzekł z drwiącym uśmiechem. — Wypędź owce na pole pocichu, żeby go nie obudzić i *hüte bis Abend*, tam *rechts* od lasu.

Parobczak pobiegł do owczarni, zdjął ze ściany bicz i zaczął pocichu wyganiać owce, ku wielkiemu zdziwieniu Burka, który wyskoczył z legowiska, spojrzał to na śpiącego pana, to na przywłaszczyciela jego berła, chciał zaprotestować, ale widząc swą bezsilność, wybiegł tylko na podwórze i wrócił, jak gdyby mówił:

— Brzoście! i ty na taką zniewagę pozwolisz?

Brzost pozwalał, bo spał. Nagle rozległo się na podwórzu trzaśnięcie z bata. Owczarz, który odgłosy swego bicza znał, drgnął silnie. W tej chwili Klein, nie chcąc stracić obmyślanego efektu przebudzenia, zawołał po niemiecku:

— Nie przeszkadzać panom!

Ocknięty już do połowy, a przytem wrażliwy na głos rządcy Brzost, zerwał się w przerażeniu.

— Co pan każe? — zapytał.

— Nic, szanowny panie Brzost — odrzekł ironicznie Klein -- ja tylko upominałem ohłopaka, co owce popędził, ażeby śpiących panów nie budził.

— Owce popędził? — wybełkotał strwożony starzec, oglądając się po pustej owczarni. — Zdrzemnąłem się chwilę, jagniaki musiały odpocząć. Burek! psia paro, gdzie bat mi zawlokłeś, a ty szelmo, bodaj cię...

Kopnął psa, który zaskowyczał przeraźliwie, zaczął się kręcić bezmyślnie, wreszcie wybiegł z owczarni.

— Panie Brzost! — zawołał rządca.

— Co pan każe?

— Powtarzam, że ja panu nic nie rozkazuję, bo jesteś wolny. Chcę tylko poradzić, ażebyś pan, przespawszy się, poszedł ze swojem towarzystwem na przechadzkę.

— Co to ma znaczyć? proszę pana.

— To ma znaczyć, że od jutra będziesz pan pasał tylko swego Burka, bo ja pijaków nie trzymam.

— Alboż...

— Milcz, zabieraj swoje łachmany i precz!

Słowa te, wypowiedziane gniewnym tonem, przebudziły Borutę.

— Łotrze! — krzyknął Klein — to ty zgodziłeś się po to, żeby mi ludzi rozpajać, owczarnię zaswędzać jakąś śmierdziuchą! Oddawaj zadatek i wynoś się gałganie, bo cię kijem przemierzę.

Boruta wytrzeszczył oczy, zbierając myśli, które mu wódka jeszcze rozpraszała, nareszcie nachylił się poziomo i z rozpędem uderzył głową Kleina w brzuch tak silnie, że ten padł wznak na słomę. Nie rzekłszy ani słowa, wyszedł.

— Zbój — krzyczał, dźwigając się, rządca — łapać go, zbój!

Boruta nie obejrzał się nawet i wkrótce znikł za budowlami.

— Ja cię, zbrodniarzu, przebodę — wołał siny z gniewu Klein — ty nie wiatr, nie ucieknies z! Ha! podłe gnaty polskie! I ty może myślisz łbem rozbijać? — wrzasnął do stojącego pokornie Brzosta.

— Dwanaście lat, panie, tu wiernie służę — odrzekł spokojnie owczarz.

— Wy wszystkie równo — mówił nieco spokojniej Klein, przeszedłszy nagle do polskiej mowy. Ha, ryj, ja go obciąć będę. Pamiętaj Brzost, że przed sąd przysięgniesz. Ty w Boga wierzysz — co?

— Zawsze.

— No, jeśli ty w Boga wierzysz, to u sądu powiesz, że on zbój był. Idź do owiec, ja tobie przebaczam, bo wina swoja znasz.

Owczarz nizko skłoniwszy się, odszedł w pole. Klein udał się do dworu — a gdzie był Boruta?

Dworskie zabudowania Nędzy wznosiły się na górze. U jej spodu biegła pokrzywiona w różne strony wieś, której ubogie, przeważnie słomą kryte chaty, z rzadka jedynie przekładane domkami z czerwonej cegły, wskazywały, że głód szerokie prowadził w niej gospodarstwo. Znać to było i z ubogich plonów, które wieśniacy zwozili na małych furkach do stodół. A słońce wrześniowe świeciło tak jasno, jak nad obrazem szczęścia i dostatku. Ach, to poczciwe słońce, czasem ono jedno tylko nie odmawia człowiekowi swych promieni, gdy los go ze wszystkich swoich łask obedrze. Czasem zamiast chleba położy swój odblask na stole biedaka, jak gdyby go światłem nakarmić chciało. Dobre słońce, nie gaśnij, nie zasłaniaj swego oblicza dla ubogich.

Boruta, usiadłszy na klocu pod chatą, od której skręcał się na wieś gościniec dworski, utkwił wzrok w słońce. O czem myślał? Więcej o tem, co z sobą zrobi, niż o tem, co zrobił z Kleinem. Niezwietrzały jeszcze wpływ trzmielówki, pewne oszołomienie, gniewny półsen — wszystko to tworzyło w jego głowie wir wrażeń, a nadewszystko nastrajało go zuchwale. Zwróciwszy wzrok na pole, spostrzegł Brzosta, spieszącego do owiec. Wstał więc z kloca, okrążył zabudowania folwarku i podążył za Brzostem.

— Szymonie! Szymonie! — wołał zdaleka.

Ale Szymon, pogrążony we wspomnieniach świeżego wypadku, nic nie słyszał.

— Cóż tak zagony liczycie? — krzyknął wreszcie Boruta, doganiając owczarza.

— A co? nie gorzki migdał? — rzekł, zatrzymawszy się Brzost.

— Potłukłem go bardzo?

— Tłusty wieprz — nic mu się nie stało. Ale co rymnął, to rymnął, jak kłoda.

— Krzyczał, słyszałem, niech mnie za ogon złapie.

— Powiedział, że cię do sądu weźmie, a mnie postawi, żebym przysiągł.

— Niech skarzy. Was zostawił?

— Czort go wie, kazał iść do owiec. Wypędzi. To pójdę z torbą. A co ty?

— Trzeba poszukać roboty.

— Byłeś u Jana?

— Po co? Że stryj, to nie pan i nie kupiec. Chleba nie ma, a roboty nie da. A co, że w chałupie przenocować pozwoli!

— A ty głupi, chałupa jest do połowy twoją i ogród także. Przecież dziedzictwo po nieboszczyku ojcu do ciebie należy. Toć grosz warto.

— Więc połowa chałupy i ogrodu moja? — powtórzył Boruta zdziwiony.

— Jakeśmy żywi oba! Idź tylko i powiedz kto jesteś. Oni cię sami poznają, siedm lat nie wieki.

— Daj gęby Antośka
Kiedym tak bogaty
Jak nie chcesz w stodole
To pójdziem do chaty.

zaśpiewał Boruta, skacząc uradowany po polu.

— Tak, tak! — mówił Brzost — to twoja ojcowizna.

— Dziedzic, to po dziedzicku. Dziś się upijemy, Szymonie, ale bawarskiem.

— To pewnie! Wyszczułby mnie jutro za dziesiąty kopiec.

— Nie bójcie się, mam łeb twardy.

— Masz go dla siebie, a wreszcie, ja tylko trzmielówkę... Bawarskie w głowie zawraca.

— E, to odwróci. Przyjdźcie dziś do szynku.

— Nie mogę, ja tylko moją...

— Sprobójcie innej. Pójdę do stryja, a wieczorem potańcujemy.

Przebieraj Marychna
Żebym ja ci...

—No, do wieczora, Szymonie—rzekł, podawszy rękę owczarzowi i wesoło odszedł.

— Przynieś jutro na pole kroplę, to skosztuję... — wołał Brzost.

Owa ojcowizna, która tak niespodzianie bogaciła Borutę, była nędzną chatą, za którą wązkim językiem wyciągnął się kawałek ogrodu. Gdzie mech nie osłonił, tam przegniłe gonty rzęsiście wyhaftowały dziurami, które na jednej stronie założono badylem, zatkano gałganami lub chrustem. Po tej to bowiem stronie mieszkał Jan Boruta, stryj Klemensa i współwłaściciel nieruchomości, zapisanej w księgach hipotecznych Nędzy pod nr. 15. Zabłocona sień dzieliła dom na dwie połowy. Na prawo znajdowała się dość obszerna izba, a za nią alkierz. W tej izbie Janowa, kobieta podeszłego wieku i wychudłej budowy, maczała właśnie w szafliku kurę, która na jajkach siedzieć chciała, gdy wszedł Klemens.

— Pochwalony.

— Na wieki wieków.

— Nie poznacie pewnie — Klemens.

— A — odrzekła, przyglądając mu się uważnie, gdy ją pocałował w rękę. — Zkądże?

— Ze świata. Cóż tu słychać?

— A słychać. Kaśka ot leży, bo febra ją trzęsie, a stary ledwie dziś do szosy nogi zawlókł.

Z pod kożucha na łóżku odezwał się lekki jęk.

— Czy stróżuje?

— Stróżuje — z rydlem. Drogę sypią do Rybnika. Gdzież ty teraz?

— Tu mnie dziś zgodzili i dziś wypędzili.

— Za co?

— Bom się na godzinkę spać położył.

— To jaskinia nie dwór, żeby ziemia się pod nim zapadła! Gdzież wracasz?

— Nie wracam, pozostanę tu tymczasem, oddacie mi połowę chałupy.

— Człowieku! — zawołała oburzona Janowa — nie boisz ty się Boga, młody, zdrów, zabierać nam tę głupią izbę!

— A ona wam po co?

— Na dworze prosiaki uwiążę? czy to psy?

— O, spleciemy chlewek, będą stały.

— Okien nie ma, przez pułap się leje.

— Gdybym na drodze sypiał, jeszcze bardziej by się lało.

— Tfu! — splunęła Janowa — wilcze ślepie. Z ołtarza by zdarł.

— E, z wami gadać, a miesiącowi się przedrzeźniać, to jedno — rzekł Klemens i wyszedł. (C. d. n.)

Z NIEMIEC.

W styczniu 1880.

Gdy Jerzy Ebers przywiózł ze swej podróży po Nilu do Europy *papyrus*, pochodzący z szesnastego wieku przed Chr., nikt nie przypuszczał, że z tego uczonego egiptologa rozwinie się sympatyczny powieściopisarz, którego dzieła nie tylko będą czytane, ale i kupowane. A przecież tak się stało. Trzy powieści Ebersa, które dotąd wyszły na widok publiczny należą do interesujących nabytków każdej czytelni publicznej Kto się najprzód rozkoszował losem *Trzech Muszkieterów*, kto opłakiwał męki *Żyda Wiecznego Tułacza*, później przelewał łzy gorzkie nad naiwnie wzruszającemi sielankami a następnie z bijącem sercem wpatrywał się w psychologiczne obrazy z życia naszej epoki — ten chętnie się zatapia obecnie w dzieje minionej przeszłości i wsłuchuje się w podania, tłomaczące nam jak to ludzie żyli wówczas i jak kochali...

Powieści Ebersa rozchodzą się i po za obrębem czytelń, gdyż trzy poprzednio wydane, mianowicie: *Córka króla egipskiego, Homo Sum* i *Uarda*, doczekały się dwie pierwsze 3-go, a ostatnia 7-go wydania. Można więc śmiało powiedzieć, że Ebers należy do rzędu pisarzów popularnych, o czem nas świeżo przekonywa najnowsza jego praca belletrystyczna p. t. *Siostry*, wydana u Edwarda Hallbergera w Stutgardzie.

Kierunek twórczości Ebersa jest kwestją sporną. Przeciwnicy jego stale utrzymują że t. z. „powieść cywilizacyjna“(*) krępuje albo uczonego albo artystę; kaleczy albo prawdę albo piękno. Twierdzenie to ma bezwarunkowo swoją podstawę i może być słusznie zastosowane do dzieł pisarza, który idzie w ślady Ebersa i chce go naśladować. Że romans cywilizacyjny może wznieść się do wysokości prawdziwego arcydzieła poezyj, przekonywa nas o tem Scheffla *Ekkehard*, który może zaginąć tylko wraz z śmiercią języka w jakim jest pisany. Teofil Gautier, odznaczający się bogatą fantazją, w ostatnich czasach wkroczył w dziedzinę Ebersa. W *Le roman d'une Momie*, Gautier wskrzesza w poglądach mumii stary Egipt i powiada, ile ta mumia przecierpiała, gdy jeszcze biło serce w jej piersi.

Nie mamy tu jednak zamiaru mówić o powieści cywilizacyjnej, lecz o jej najdzielniejszym przedstawicielu, Jerzym Ebersie.

W pierwszem jego dziele p. t. *Córka króla egipskiego*, widać jak uczony dusi poetę. Każda wszakże następna praca przekonywa, że Ebers stara się pozbyć tego ciężaru i rzeczywiście stopniowo zrzuca z siebie niesmaczny w powieściopisarstwie balast uczoności. Przyznaje on się otwarcie, że uczony z poetą staczają w nim walkę. Każdy z nich chce powiedzieć co wie. Obaj w pierwszych dwu powieściach jego porobili sobie ustępstwa. W wstępie do trzeciej swej powieści *Homo Sum*, Ebers powiada, że chce tylko „w wykończonej formie podnieść do artystycznego wyrazu pewną ideę“ i rzeczywiście w powieści tej poeta do tego stopnia wyzwolił się z pod jarzma uczoności, że używa jej tylko w niezbędnych momentach dla upiększenia tła, na którem maluje pełne poetyckiej fantazji obrazy.

Ostatni utwór Ebersa wskrzesza nam Egipt z 164 r. przed Chr., duchowo na wskróś przesiąknięty hellenizmem, politycznie jednak pozostający w zależności od Rzymu. Grecka cywilizacja i rzymska potęga w urządzeniach państwowych Egiptu odzwierciedla się w niezliczonej ilości drobnych rysów w lekkich zwrotach konwersacyjnych, a jednak archeolog nie prowadzi sam despotycznie akcji. Zachwyca nas tu piękna gra wyobraźni, a gdy przeglądamy się interesującym ramom, nie zastanawiamy się ani na chwilkę, ile mozolnej pracy kosztowały one artystę, który je wykończył...

Ptolomeusz VI Filometer (187—146 przed Chr.) potomek macedońskiego królewskiego domu, obok swej siostry i żony Kleopatry panuje nad jedną częścią Egiptu. Brat jego Ptolomeusz VII Evergetes II († 117 przed Chr.) jest królem w drugiej połowie państwa. Filometer rezyduje w Memfisie, gdzie żywioł egipski istnieje jeszcze w pełni sił żywotnych — Evergetes zaś w Aleksandrji, gdzie przeważa znów hellenizm. Ci dwaj bracia wraz ze swoją pięknością, miłości żądną siostrą, ucieleśniają całą epokę cywilizacyjną.. Trudno już chyba bardziej wyzwolić się z tonu profesorskiego, jak to Ebers uczynił, albowiem kształci on w niektórych miejscach czytelnika w sposób tak delikatny, jak gdyby lekcję tę uważał za zupełnie zbyteczną. W jednem np. miejscu powiada: Dla mniej zaznajomionego może z tą epoką dziejów egipskich czytelnika (trudno o dyskretniejsze wyrażenie!) pozwolę sobie zauważyć, że Kleopatra, małżonka Ptolomeusza Filometra, z którą mam właśnie zamiar zapoznać go tutaj, nie jest bynajmniej sławną jej imienniczką, kochanką Juliusza Cezara i Marka Antoniusza“ Autor potrafił oprzeć się wdziękowi przeniesienia akcji powieściowej do Aleksandrji „gdyż w Aleksandrji żywioł egipski zbyt daleko pozostał po za greckim a świetny bogaty materjał sceniczny odwróciłby łatwo uwagę od życia duchowego osób działających.“ Posiłkując się bardzo skromną ilością materjałów zmnszony był naturalnie całą swą powieść sam obmyśleć i opracować. Użył on szczęśliwie tej mozajki epokowej, w której żywioł egipski, grecki i rzymski razem się zeszły w Egipcie i na tem tle rozwinął ciekawy dramat sercowy. Jakiż tego dramatu ogólny wyjątek? Tytułowemi bohaterkami powieści są *siostry*, Klea i Irena córki Filotusa. Ten wyznawca nauki Zenona i prezes kolegium sędziowskiego skutkiem mściwych intryg eunucha Euläsa zesłany został do robót ciężkich w kopalniach Ponieważ jednak i młode córki więźnia nie były od tej zemsty zabezpieczone, więc zakonnik Serapion umieszcza je w świątyni jako „szafarki darów.“ Z tego wątła rozwija się bardzo tragiczna tkanka, zakończona szczęśliwem małżeństwem: Klea poślubia rzymianina Publiusza Korneliusza Scyplona Nasikę, Irena zaś Liziasa, młodego rzeźbiarza z Koryntu.

W osnowie powieści, obok ściśle historycznego wątku, znajdujemy bardzo wiele podobieństw przypominających nam obecną epokę, a podobieństwa te potęgują w czytelniku zajęcie. Rzecz naturalna, że wszystkie wspomniane przymioty *Sióstr*, że cały interes powieści ma dla polskich czytelników znaczenie względne. U nas staro żytne dzieje a więc i snute na ich kanwie utwory nie budzą takiej uwagi, jak w Niemczech, gdzie wyższa oświata i bogata literatura dawno już społeczeństwo do podobnych przedmiotów przygotowały.

J. Trz.

(*) Nazwę tę utworzyli niemcy; my dla wyrazu *Kultur-Roman* nie mamy odpowiedniego tłómaczenia.

Z DZIEJÓW GŁODU.

Była głodna i chora. Troskami wybladła
Czworo płaczących dzieci do koła obsiadło,
I nie miała czem głodu ukoić tych dziatek!
Więc bawiła kwilące obyczajem matek,
I — spiewając, to śmiejąc się wśród głodu czkawki —
Wymyślała im różne figle dla zabawki,
Lub prawiła o pani, co strojna w atłasy,
Przyniesie obwarzanków wkrótce i kiełbasy.
A mówiąc tak — kłamała, w myśli że oszuka
Głód dzieci, bo wiedziała że nikt nie zapuka
Do drzwi nędzy zwyczajnej, gdy jej braknie chleba,
— I że, by litość wzbudzić, tragedji potrzeba!

I broniła tak dziatek swych przed głodu sępem,
Walcząc z nim bez nadziejnie kłamstwem i podstępem: —
Lecz daremna obłuda, i męka, i praca,
Bo oszukany chwilkę znów sroższy powraca
Głód niemy, co przedstawień ni próźb nie rozumie!
— Cóż pocznie ta biedaczka, kiedy kraść nie umie?

Więc głodnego robactwa gdy płacz nie ustawał,
Wydobyła z barłogu swego sznura kawał; —
Czy, że go kupić nie chciał nikt? czy, ot, przypadek!
Ostatni już po mężu nie sprzedany spadek! —
I uśmiechnięta jak te, co żartują, trzpiotki:
« — Cyt, rzecze, me aniołki! cyt moje pieszczotki!
Będzie chleb! będzie mleczko ciepłe na śniadanie,
I przyniosą Wam ciastek słodkich piękne panie,
Lecz wprzód — figielek nowy pokażę Wam matka!
Cha, cha, cha, patrzcie! patrzcie! bo to sztuka rzadka!
Ot, widzicie ten sznurek? Będzie śmiechu wiele!
— Matka na nim zawiśnie, jak lampa w kościele«! —

I stało się jak rzekła!

Podstępy matczyne
Oszukały raz jeszcze zgłodniałą drużynę;
Więc — na myśl tę już samą dreszcz sercem przechodzi! —
Klaskali kurczom śmierci matkobójcy młodzi; —
I wśród wesołych śmiechów tej dziatwy ulata
Duch wielkiej męczennicy w krainy zaświata,
Mniejsza o to: do piekła? do czyśca? do nieba?
— Dość że tam — gdzie już dzieci nie wołają «Chleba»! —

Włodzimierz Zagórski.

SPADEK 500 MILIONOWY

POWIEŚĆ

JULJUSZA VERNE'A

PRZEKŁAD

WINCENTY LIMANOWSKIEJ.

(Ciąg dalszy)

ROZDZIAŁ VIII.

(Jaskinia smoka.)

Przy zwiększającem się ciągle powodzeniu, jakiego doznawał młody Alzatczyk, nie będzie zapewnie dziwił się czytelnik, gdy po kilku tygodniach zastanie go żyjącego w największej poufałości z Herr Schultze'm. Nie rozłączali się prawie z sobą. Prace, posiłek, przechadzki po parku, długie fajki palone obok musującego piwa — wszystko to było im wspólne. Nigdy jeszcze exprofesor z Jeny nie miał współpracownika, któryby tak odpowiadał sercu jego, któryby go tak rozumiał półsłówkami, rzec można, któryby umiał tak zużytkować jego teoretyczne pomysły.

Marceli nietylko w najwyższym stopniu posiadał znajomość rzemiosła swego we wszystkich jego gałęziach, był to zarazem najprzyjemniejszy towarzysz, pracownik niezmordowany, wynalazca płodny, a pomimo to skromny niesłychanie.

Herr Schultze był nim zachwycony. Dziesięć razy na dzień mówił do siebie *in petto:*

„Co to za skarb! Co to za perła ten chłopiec!“

W istocie zaś Marceli od pierwszego rzutu oka poznał charakter strasznego swego patrona. Dojrzał, że główną jego skłonnością był egoizm, potężny, wszystkożerny, objawiający się na zewnątrz bezmierną próżnością, i do tego zastosował całe swoje z nim postępowanie.

W kilka dni młody Alzatczyk tak doskonale poznał mechanizm tej klawiatury, że grał na Herr Schultze'u jak na fortepianie. Taktyka jego polegała na tem, że starał się o ile mógł wykazać swoją własną zasługę, ale czynił to w taki sposób, by dać zarazem tamtemu możność wykazania jego wyższości nad sobą.

Naprzykład, gdy chodziło o rysunek, robił go doskonałym, zostawując w nim jednakże błąd jakiś, łatwy do poprawienia; tak że exprofesor zwracał nań uwagę natychmiast z wielką żywością.

Jeżeli miał jakąś teoretyczną myśl, starał się dać ją poznać w rozmowie, a to w taki sposób, by Herr Schultze mógł sądzić, że sam trafił na nią. Czasami nawet posuwał się dalej, mówiąc naprzykład:

— Zrobiłem plan tego statku o zdejmującej się ostrodze, coś go pan żądał.

— Ja? — odpowiadał Herr Schultze, który nigdy nie myślał o niczem podobnem.

— Ale tak! Zapomniałeś pan o tem?... Ostroga odejmuje się, i zostawia w boku nieprzyjaciela torpilę, wybuchającą dopiero po upływie trzech minut!

— Nic już nie pamiętam tego. Tyle mam pomysłów w głowie!

I Herr Schultze spokojnie przywłaszczał sobie ojcowstwo nowego wynalazku.

Może zresztą nawpół tylko dawał się tak oszukiwać. Prawdopodobnie czuł w duszy wyższość Marcelego nad sobą. Ale jedna z tych tajemniczych fermentacji mózgu sprowadzała to, że chciał tylko „uchodzić“ za wyższego, a szczególnie pragnął, by podwładny jego miał to złudzenie!...

— A to głupiec, z całym tym swoim rozumem — mówił do siebie niekiedy, cicho śmiejąc się i ukazując wszystkie trzydzieści dwa zęby swoje.

Zresztą, próżność jego umiała to sobie wynagrodzić. On tylko jeden na świecie mógł urzeczywistnić tego rodzaju marzenia przemysłowe!... Marzenia te miały wartość swą tylko przez niego i dla niego!... Marceli jest niczem więcej, jak jednem z kółek organizmu, który on, Schultze, umiał stworzyć, itp. itp..

Pomimo to wszystko, nie wygadywał się, jak to powiadają. Po pięciu miesiącach pobytu w Wieży Byka, Marceli nie wiele więcej jak przedtem wiedział o tajemnicach Dzielnicy środkowej. Wprawdzie, podejrzenia jego stały się prawie pewnikami. Coraz mocniej był przekonanany, że w Stahlstadt'zie ukrywała się tajemnica, i że Herr Schultze oprócz zysku, miał jeszcze coś innego na celu. Wyłączny kierunek myśli jego, a nawet rodzaj przemysłu, któremu się oddał, nasuwał prawdopodobną hipotezę, że chodziło o wynalazek jakiejś nowej maszyny wojennej.

Ale co i jak? Zagadka zawsze jeszcze była ciemną.

Marceli doszedł wreszcie do tego przekonania, że nie dowie się o niej bez jakiegoś przesilenia. Widząc, że to nie nastąpi samo, postanowił doprowadzić do niego.

Było to wieczorem, 5. września, pod koniec obiadu. Rok temu, w tenże sam dzień, Marceli odnalazł był w studni Albrechta zwłoki swego małego przyjaciela, Karla.

Długa, surowa zima tej Szwajcarji amerykańskiej pokrywała jeszcze swoim białym płaszczem wszystkie pola dokoła. Ale w parku Stahlstadt temperatura tak była ciepła jak w czerwcu, i śnieg topniejąc zanim dotknął ziemi, opadał w kształcie rosy, nie zaś białych płatów.

— Nieprawdaż jakie doskonałe kiełbasy z kapustą? — odezwał się Herr Schultze, który pomimo milionów, nie stracił upodobania do ulubionej potrawy swojej.

— Doskonałe — odrzekł Marceli, który jadł je po bohatersku, chociaż miał prawie wstręt do nich, tak mu już obrzydły.

Buntujący się żołądek skłonił go nareszcie do kroku, nad którym przemyśliwał oddawna.

— Nie rozumiem nawet, jak mogą żyć narody, które nie mają ani kiełbas, ani kapusty, ani piwa! — mówił znowu Herr Schultze z westchnieniem.

— Życie musi być dla nich długą męczarnią — odpowiedział Marceli. — Będzie to prawdziwym dowodem humanitarnym uczuć, kiedy się je przyłączy do Vaterlandu.

— Eh! Eh!... przyjdzie to... przyjdzie!... — zawołał Stalowy król. — Oto usadowiliśmy się już w samym środku Ameryki. Niechno zdobędziemy jaką jedną lub dwie wyspy w okolicach Japonii, a zobaczysz jakimi krokami pójdziemy w świat.

Lokaj wniósł fajki. Herr Schultze nałożył swoję i zapalił. Marceli rozmyślnie obrał tę chwilę błogiego usposobienia.

— Muszę wyznać — rzekł po chwilowem milczeniu — że nie bardzo wierzę w ten podbój!

— Jaki podbój? — zapytał Herr Schultze, który zapomniał już był o przedmiocie rozmowy.

— Podbój świata przez Niemców.

Exprofesor sądził, że źle usłyszał.

— Nie wierzysz w podbój świata przez Niemców?

— Nie...

— A to dobre, to mi się podoba!... Chciałbym wiedzieć, jaka jest przyczyna tego powątpiewania!

— Ta po prostu, że artylerzyści francuscy prześcigną was i pobiją.. Szwajcarzy, moi rodacy, którzy znają ich dobrze, utrzymują, że u Francuza nauka nie idzie w las. 1870 rok był dla nich nauczką, która wyjdzie na złe tym, co mu ją zadali. Nikt o tem nie wątpi w naszym małym kraju, a jeżeli mam wszystko panu powiedzieć, takie też jest zdanie najwytrawniejszych ludzi w Anglii.

Marceli wymówił te słowa tonem zimnym, suchym, stanowczym, co zwiększyło jeszcze, jeżeli podobna, wrażenie, jakie to bluźnierstwo, tak wręcz wypowiedziane, musiało sprawić na królu stalowym.

Herr Schultze oniemiał, osłupiał. Krew tak gwałtownie uderzyła mu do twarzy, że młody człowiek przestraszył się, czy nie za daleko zaszedł. Spostrzegłszy jednak, że ofiara jego, chociaż o mało co nie udusiła się z wściekłości, wytrzymała jednak cios ten, mówił dalej:

— Tak, niemiło to dowiedzieć się o tem, ale tak jest. Nasi współzawodnicy nie zdradzają się żadnym ruchem, ale tem zawzięcej pracują. Myślisz pan, że się niczego nie wyuczyli od ostatniej wojny? Podczas kiedy my niezdarnie powiększamy tylko ciężar dział naszych, bądź pan pewny, że oni przygotowują coś nowego, o czem dowiemy się przy pierwszej sposobności?

— Nowego! nowego! — wyjąkał Herr Schultze. — My też robimy coś nowego!

— A tak! jest o czem mówić! Robimy ze stali to, co poprzednicy nasi robili z bronzu, ot i wszystko! Podwajamy rozmiary i doniosłość naszych dział!

— Podwajamy!... — odrzekł Herr Schultze tonem, który znaczył: Naprawdę, więcej niż podwajamy!

— Ale w gruncie rzeczy jesteśmy tylko naśladowcami. Chcesz pan, żebym powiedział prawdę? Brak nam zdolności wynalazku. Nie możemy nic wynaleść, a Francuzi? O ci wynajdują, bądź pan tego pewny!

Herr Schultze uspokoił się trochę na pozór. Jednakże drżenie jego warg i bladość, która nastąpiła po apoplektycznej czerwoności twarzy, jasno wskazywały miotające nim uczucia.

Dojść do takiego stopnia upokorzenia? Nazywać się Schultze'm, być absolutnym panem największej fabryki i najpierwszej w świecie giserni dział, widzieć u stóp swoich parlamenty i króle, i słyszeć od lichego szwajcarskiego rysownika, że braknie ci zdolności wynalazku, że jesteś poniżej francuskiego artylerzysty!... I to wówczas, kiedy tuż, za murem tylko, masz czem zawstydzić tysiąckrotnie zuchwalca tego, zamknąć mu usta i głupie jego dowodzenie zniweczyć? Nie, niepodobna znieść męczarni takiej

Herr Schultze zerwał się tak nagle, że stłukł

fajkę. Potem, patrząc na Marcelego z ironią i zaciskając zęby, rzekł a raczej syknął te słowa:

— Chodź pan ze mną, pokażę panu czy ja, Herr Schultze, nie mam zdolności wynalazku!

Marceli stawił wiele, ale wygrał, dzięki zadziwieniu, jakie sprawiła tak nagła i tak niespodziana mowa, dzięki gwałtownemu gniewowi, który wywołał u exprofesora. Próżność silniejszą była niż ostrożność. Pilno było Schultze'mu wyjawić tajemnicę, i jak gdyby pchnięty siłą jakąś, wszedł do swego gabinetu, starannie zamykając za sobą drzwi, i posunął się prosto ku szafie z książkami i dotknął jednej ze ścian jej. Natychmiast ukazał się w murze otwór, zakryty rzędami tomów. Było to wejście do wązkiego przejścia, którego kamienne schody prowadziły aż do samych stóp Wieży Byka.

Tam drzwi dębowe otworzyły się za pomocą małego klucza, który nigdy nie rozstawał się z panem tych miejsc. Następne drzwi zamknięte były na kłódkę sylabiczną, w rodzaju tych, jakie się używają do okutych skrzyń. Herr Schultze ułożył słowo i otworzył ciężkie żelazne podwoje, z wewnętrznej strony uzbrojone w skomplikowany przyrząd maszyn wybuchających, którym Marceli, zapewne przez ciekawość pochodzącą z zawodu, chciałby się był bliżej przypatrzyć. Ale przewodnik jego nie dał mu czasu na to.

Obydwaj znaleźli się przed trzeciemi drzwiami, bez widocznego zamku, i które otworzyły się za prostem pchnięciem, wykonanem, ma się rozumieć, podług określonych prawideł.

Przebywszy te trzy szańce, Herr Schultze i towarzysz jego musieli wejść na dwieście stopni żelaznych schodów i dostali się na szczyt Wieży Byka, która panowała nad całem Stalowem Miastem.

Na tej wieży z granitu, którego moc była niepokonana, znajdował się rodzaj zaokrąglonej kazematy, a w niej kilka strzelnic. Na środku kazematy stała armata ze stali.

— Oto jest — rzekł profesor, który przez całą drogę nie odezwał się ani słowa.

Była to największa z oblężniczych armat, jakie Marceli widział kiedykolwiek. Musiała ważyć przynajmniej trzysta tysięcy kilogramów i nabijała się od tyłu. Otwór jej miał półtora metra średnicy. Osadzona na lawecie ze stali, toczyła się po pasach z tegoż metalu; dzięki systemowi zębatych kół, ruchy jej tak były ułatwione, że dziecko mógłoby im podołać. W tyle lawety znajdowała się sprężyna, której przeznaczeniem było zapobiegać cofaniu się działa, a przynajmniej ściśle równoważyć je i po każdym strzale automatycznie ustawiać je na dawnem miejscu.

— Jakaż jest siła tego działa? — zapytał Marceli, który pomimowoli musiał podziwiać taką maszynę.

— O dwadzieścia tysięcy metrów pełnym pociskiem przebijamy blachę grubą na czterdzieści cali z taką łatwością, jak gdyby to była osełka masła!

— Jakaż jest jego donioslość?

— Donioslość jego! — zawołał Herr Schultze, unosząc się. — Aha! mówiłeś przed chwilą, że naśladowczy jeniusz nasz zdobył się tylko na zwiększenie donioslości dział teraźniejszych!... Otóż, ja podejmuję się wyrzucić z tego działa pocisk o dziesięć mil odległości ztąd.

— Dziesięć mil? — zawołał Marceli. — Dziesięć mil! Jakiegoż nowego prochu używasz pan?

— Oh! teraz już mogę wszystko powiedzieć ci! — odpowiedział Herr Schultze szczególnym tonem. — Nic już teraz nie przeszkadza mi odsłonić ci wszystkie moje tajemnice! Gruboziarnisty proch zrobił już swoje. Ja używam strzelniczej bawełny, której siła rozsadzania jest cztery razy większa od prochu zwykłego; siłę tę ja powiększam do pięciu razy, dodając saletry w ilości ośmiu dziesiątych wagi bawełny!

— Ale — zrobił uwagę Marceli — żadna armata, chociażby była z najlepszej stali, nie potrafi oprzeć się spłonieniu tej bawełny! Działo pańskie po trzech, czterech, pięciu wystrzałach będzie zepsute i bez użytku!

— Chociażby wystrzeliło raz jeden, tylko jeden, to wystarczy!

— Ten raz drogo kosztowałby!

— Milion, ponieważ armata tyle kosztuje!

— Strzał jednomilionowy!...

— Mniejsza o to, jeżeli ten strzał może zniszczyć miliard!

— Miliard! — zawołał Marceli.

Powstrzymał się jednak od wybuchu zgrozy pomięszanej z uczuciem podziwu, które budził w nim ten nadzwyczajny ajent zniszczenia. Potem dodał:

— Rzecz pewna, że działo to jest zadziwiającem i przepysznem, ale pomimo wszystkich zalet jego widzę, że usprawiedliwia zdanie moje poprzednie: udoskonalenia, naśladownictwo, brak wynalazku!

— Brak wynalazku! — odpowiedział Herr Schultze, wzruszając ramionami. — Powtarzam panu, że nie mam już tajemnic przed nim! Proszę za mną!

Stalowy król i towarzysz jego opuścili kazematę i zeszli na niższe piętro, które łączyło się z platformą za pomocą hydraulicznych wind. Tam znajdowała się pewna liczba przedmiotów podłużnego kształtu, formy cylindrycznej; zdaleka wyglądały one jak armaty zdjęte z lawet.

— Oto nasze granaty — rzekł Herr Schultze.

Tym razem Marceli musiał wyznać, że narzędzia, na które patrzał, w niczem nie były podobne do tych, jakie znał dawniej.

Były to ogromne rury, długie na dwa metry, mające w średnicy jeden metr i dziesięć centymetrów, zewnątrz pokryte ołowiem, na którym mogły się odcisnąć wyżłobienia rury działowej, z tyłu zamknięte stalową nitowaną blachą, a z przodu zakończone kolcem ze stali, zaopatrzonym w perkusyjny czyli pistonowy guzik.

Jaka była szczególna własność tych granatów? Z powierzchowności ich domyślić się tego niepodobna było. Przeczuwać tylko chyba było można, że zawierały we wnętrzu swem jakiś materjał straszliwie wybuchający, straszliwiej od wszystkiego, co dotąd robiono w tym rodzaju.

— Nie odgadujesz? — zapytał Herr Schultze, widząc, że Marceli milczy.

— Na honor, nie! Po co granat tak długi i tak ciężki, przynajmniej z pozoru?

— Pozór mylny jest — odpowiedział Herr Schultze — ciężar jego nie bardzo się różni od zwykłego granatu tegoż kalibru... No, trzeba ci wszystko powiedzieć!... Granat-raca jest zrobiony ze szkła pokrytego drzewem dębowem i naładowany dwutlenkiem węgla płynnym, przy wewnętrznem ciśnieniu siedmdziesięciu dwóch atmosfer. Spadając granat pęka, i płyn zamienia się w gaz. Następstwo tego jest takie: na dosyć znacznej przestrzeni miejsca, gdzie granat pękł, powstaje zimno około stu stopni poniżej zera, a jednocześnie ogromna ilość dwutlenku węgla mięsza się z otaczającem powietrzem. Wszystkie istoty żywe, znajdujące się w promieniu trzydziestu metrów od miejsca wybuchu, ulegają zmarznięciu, a zarazem uduszeniu. Mówiąc trzydzieści metrów, biorę tylko tę liczbę jako podstawę rachunku, bo prawdopodobnie działanie rozciągnie się bez porównania dalej! Zachodzi przytem bardzo korzystna okoliczność: ponieważ dwutlenek węgla, wskutek ciężaru swego, większego od powietrza, przez długi czas bardzo trzyma się niższych warstw atmosfery, przeto niebezpieczny ten pas zachowuje niszczące swe własności przez kilka godzin jeszcze po wybuchu, tak że kto tylko zechce przez ten czas przekroczyć go, musi zginąć nieodmiennie. Skutek tego strzału armatniego jest zatem natychmiastowy i trwały!... To też z moim systematem nie ma rannych, sami tylko umarli!

Herr Schultze widocznej doznawał przyjemności, kiedy tak rozwijał zalety wynalazku swego. Dobry humor wrócił mu, twarz się okryła rumieńcem dumy, i wszystkie zęby pokazały się na wierzchu.

— Wyobraź sobie — dodał — dostateczną ilość dział moich, skierowanych na oblegane miasto! Rachując po jednej armacie na hektar przestrzeni, trzeba będzie sto baterji po dziesięć dział dobrze ustawionych, na miasto z tysiąca hektarów. Przedstawmy sobie, że wszystkie te działa znajdują się na przeznaczonem miejscu i każde z nich ma swój cel ustawiony, że atmosfera jest spokojna i przyjazna, nakoniec, że w danej chwili drut elektryczny daje ogólny sygnał... W jednej chwili nie pozostanie ani jedna istota przy życiu na przestrzeni tysiąca hektarów! Prawdziwy ocean dwutlenku węgla zaleje miasto! Myśl ta powstała mi w głowie przeszłego roku, kiedym czytał lekarskie doniesienie o przypadkowej śmierci małego górnika w studni Albrechta! Powziąłem ją był najprzód w Neapolu, kiedym zwiedzał Psią grotę *) Ale dopiero ten ostatni wypadek rozwinął ją i ustalił całkowicie. Rozumiesz dobrze zasadę, nieprawdaż? Sztuczny ocean czystego dwutlenku! Otóż, jedna piąta proporcja gazu tego wystarcza, by zatruć powietrze i uczynić je niemożebnem do oddychania.

Marceli nie mówił ani słowa. Zamknięto mu usta. Herr Schultze tak żywo czuł swój tryumf, że nie chciał go nadużywać.

— Jeden tylko szczegół nudzi mnie — rzekł.

— Jaki? — spytał Marceli.

— Nie udało mi się wynaleść sposobu jakiegoś dla usunięcia zwykłego wybuchowi łoskotu. To robi, że mój strzał armatni wiele będzie miał podobieństwa z pospolitym strzałem. Pomyśl sobie coby to było, gdybym wynalazł cichy strzał! Ta nagła śmierć, spadająca bez najmniej-

---

*) Psia grota, znajdująca się w okolicach Neapolu, zawdzięcza nazwę swą szczególnej własności swej atmosfery, od której dusi się pies lub wszelkie inne czworonożne zwierzę o nizkich nogach, a która nie szkodzi człowiekowi stojącemu, — własność ta pochodzi od warstwy grubej na sześćdziesiąt centymetrów prawie, dwutlenku węgla, ten bowiem z powodu właściwego ciężaru swego trzyma się przy samej ziemi.

szego hałasu na sto tysięcy ludzi od razu, w noc spokojną i pogodną.

Herr Schultze pogrążył się cały w marzeniu o uroczym ideale, i marzenie to, które było właściwie tylko głębokiem zanurzeniem się w uczuciu miłości własnej, przeciągnęłoby się zapewne długo, gdyby Marceli nie przerwał go uwagą następną:

— Bardzo dobrze, panie, bardzo dobrze, ale tysiące dział takiego rodzaju, to suma pieniędzy i czasu

— Pieniędzy? mamy ich na zawołanie! Czasu?... Czas do nas należy!

I na prawdę, Germanin ten, ostatni ze swej szkoły, wierzył temu co mówił!

— Niech i tak będzie — odpowiedział Marceli. — Granat pański, naładowany dwutlenkiem węgla, niekoniecznie jest nowością, pochodzi bowiem od trujących pocisków, oddawna znanych; ale nie przeczę, że jest potężnie niszczącym. Tylko...

— Tylko?...

— Względnie do swych rozmiarów jest za lekki, i jeżeli ten pójdzie o dziesięć mil!

— Jego przeznaczeniem jest pójść tylko o mil dwie — odpowiedział Herr Schultze, uśmiechając się. — Ale — dodał pokazując inny granat — oto pocisk z lanego żelaza. Ten jest pełny i zawiera w sobie sto małych dział symetrycznie ułożonych, osadzonych jedne w drugich tak jak rury w perspektywie, i które wyrzucane jako pociski, stają się działami i z kolei wyrzucają małe granaty naładowane palnymi materjałami. To tak jak gdybym baterją wyrzucił w powietrze; zaniesie ona pożar i śmierć na całe miasto, zasypując je gradem nieugaszonych ogni! Ten pocisk ma ciężar potrzebny do przebycia dziesięciu mil, o których mówiłem! I niedługo zrobimy z nim doświadczenie takie, że niedowiarki będą mogli dotknąć palcem sto tysięcy trupów, które legną od niego na ziemi.

Zęby świeciły się w tej chwili tak nieznośnym blaskiem w ustach Herr Schultze'go, że Marceli gwałtowną miał ochotę wybić mu ich z tuzin. Ale miał siłę powstrzymać się jeszcze. Nie był to jeszcze koniec tego, co potrzebował usłyszeć.

W istocie, Herr Schultze przemówił znowu:

— Powiedziałem już, że niezadługo stanowcza próba odbędzie się!

— Jak? Gdzie? — zawołał Marceli.

— Jak? Jednym z tych granatów, który wyrzucony przez armatę moją na platformie, przebędzie łańcuch Cascade-Monnts!.. Gdzie? Na miasto, odległe od nas co najwyżej o dziesięć mil, miasto, które nie może spodziewać się tego gromu, a chociażby się nawet spodziewało, nie mogłoby się uchronić od piorunujących następstw jego! Mamy dziś 5 września!... A zatem 13, o czterdzieści pięć minut na dwunastą wieczór, Francja-Miasto zniknie z Amerykańskiej ziemi! Będzie to nowy pożar Sodomy! Profesor Schultze z kolei ciśnie wszystkie ognie niebios na ziemię!

Na tę niespodzianą wiadomość wszystka krew Marcelego zbiegła mu do serca! Na szczęście, Herr Schultze nie spostrzegł, co się z nim działo!

— Tak! — mówił dalej swobodnym tonem. My tutaj robimy rzeczy wprost przeciwne temu, co robią wynalazcy Francji-Miasta. My szukamy tajemnicy skrócenia życia ludzkiego, podczas kiedy oni szukają sposobu przedłużenia go. Ale ich dzieło jest skazane na zagubę, a ze śmierci, którą my zasiejemy ma powstać życie. Jednakże wszystko w przyrodzie ma swój cel, i doktor Sarrasin, zakładając odosobnione miasto dostarczył mi, nie domyślając się tego, najwspanialszego pola do moich doświadczeń."

Marceli nie chciał wierzyć temu, co słyszał.

„Ale — rzekł głosem, którego mimowolne drżenie zdawało się chwilowo zwracać uwagę Stalowego króla — mieszkańcy Francji-Miasta nic panu złego nie zrobili! O ile wiem, nie masz pan żadnego powodu do wojny z nimi?

— Mój drogi — odpowiedział Herr Schultze — w mózgu twoim, dobrze zorganizowanym pod innymi względami, jest zasób idei celtyckich, które szkodziłyby ci bardzo, gdybyś miał długo żyć! Prawo, dobro, zło, są to rzeczy czysto względne i zależne od sposobu zapatrywania się. Wielkie tylko prawa natury są bezwzględne. Prawo współzawodnictwa bytu jest tak absolutnem, jak prawo ciążenia. Szaleństwem byłoby nie chcieć uznać tego; zastosować się do tego prawa i działać w duchu jego, jest rzeczą rozsądną i mądrą, i dla tego zniszczę miasto doktora Sarrasin'a. Dzięki mojej armacie, moje pięćdziesiąt tysięcy Niemców łatwo pokonają sto tysięcy owych tam marzycieli, skazanych na zagubę.

Marceli, pojmując, że nieużyteczną zupełnie rzeczą byłoby rozumować z Herr Schultze'm, nie starał się odwieść go od jego zamiaru.

Obydwaj opuścili pokój granatów, którego sekretne drzwi zostały zamknięte, i wrócili do jadalnego pokoju.

Z najnaturalniejszą miną w świecie Herr Schultze podniósł do ust swój kufel piwa i, zadzwoniwszy na służącego, kazał sobie podać inną fajkę na miejsce tej, którą stłukł był, poczem rzekł do lokaja:

— Czy Arminius i Sigimer są tam?

— Tak, panie.

— Powiedz im, że mają być blisko na zawołanie moje.

Kiedy służący opuścił pokój jadalny, Stalowy król, odwróciwszy się do Marcelego, spojrzał mu prosto w twarz.

Alzatczyk nie spuścił oczu przed tym wzrokiem, który stał się metalowo twardym.

— Wykonasz pan rzeczywiście ten projekt?

— Rzeczywiście. Znam doskonale położenie Francji-Miasta, tak co do długości, jak szerokości geograficznej, i 13 września, o czterdzieści pięć minut na dwunastą wieczór, zakończy ono byt swój.

— Należałoby może zatrzymać plan ten w zupełnej tajemnicy!

— Mój drogi — odpowiedział Herr Schultze — widzę stanowczo, że nigdy nie będziesz logicznym. Z tego powodu mniej już żałuję teraz, że masz tak młodo umrzeć.

Na te ostatnie słowa Marceli powstał.

— Jakto, zimno — dodał Herr Schultze — nie zrozumiałeś tego, że o zamiarach moich mówię tylko przed tymi, którzy nigdy ich powtórzyć nie będą mogli?

Zadzwonił znowu. Dwaj olbrzymi, Arminius i Sigimer, ukazali się we drzwiach sali.

— Chciałeś poznać tajemnicę moją, poznałeś ją — rzekł Herr Scultze!... Teraz, pozostaje ci tylko umrzeć.

Marceli nie odpowiedział nic.

— Za wiele masz rozumu — mówił dalej Herr Schultze, byś mógł sądzić, że pozwolę ci żyć teraz, kiedy wiesz o zamiarach moich. Byłaby to lekkomyślność do niedarowania, byłaby to nielogiczność. Wielkość celu mego nie pozwala mi narażać jego powodzenia dla względu tak małej stosunkowo wartości jak życie człowieka — nawet takiego człowieka jak ty, mój kochany, którego dobrą mózgową organizację wysoko cenię. To też żałuję prawdziwie, że miłość własna za daleko mię pociągnęła, i że teraz znajduję się w konieczności zgładzenia ciebie. Ale musisz to zrozumieć; w obec sprawy, której się poświęciłem, nie może być mowy o uczuciu. Mogę ci też wyznać, że twój poprzednik Sohne umarł dlatego również, że odkrył tajemnicę moją, a nie z powodu wybuchu dynamitu!... Prawidło jest bezwzględne i musi być niezłomne! Nic na to poradzić nie mogę.

Marceli patrzał na Herr Schultze'go. Z dźwięku głosu jego, ze zwierzęcego uporu tej łysej głowy zrozumiał, że jest zgubiony. To też nie myślał sprzeciwiać się.

— Kiedy umrę i jaką śmiercią? — zapytał.

— Nie troszcz się o te szczegóły — odrzekł spokojnie Herr Schultze. — Umrzesz, ale nie będziesz cierpiał. Pewnego rana nie obudzisz się wcale. Nic więcej.

Na znak dany przez Stalowego króla, Marceli został uprowadzony i zamknięty w swoim pokoju, przy którego drzwiach dwaj olbrzymi zostali na straży.

Pozostawszy sam, młody człowiek z gniewem i strasznym niepokojem zaczął myśleć o doktorze i jego rodzinie, o swoich rodakach, o wszystkich tych, których kochał!

— Niczem jest ta śmierć, co mię czeka — mówił do siebie. — Ale to niebezpieczeństwo, które im grozi, jak temu zapobiedz! (C. d. n.)

ALEKSANDER DUMAS

I SPRAWA ROZWODÓW

WE FRANCJI.

Paryż dnia 4. lutego.

Kwestja rozwodowa stoi we Francji na pierwszym planie, obok różnych spraw politycznych i społecznych, które się tam roztrząsają. Deputowany Nacquet od lat kilku niezmordowanie sprowadza ją na porządek dzienny, i jest prawie pewność, że przez Izby francuskie zostanie już raz ostatecznie załatwioną. Leon Rénault już skończył swój raport, więc sprawa przygotowaną jest do oddania pod głosowanie. Jednocześnie ukazała się przedwczoraj publikacja, wymowniejsza od wszystkich tyczących się tej sprawy. Jestto „Question du divorce" Aleksandra Dumasa syna.

Człowiek ten cały swój geniusz, całą swą pracę przez lat dwadzieścia pięć, poświęcał na to, aby przestudjować wzajemny stosunek mężczyzny, kobiety i dziecka w najrozmaitszych sytuacjach, stworzonych obecnemi stosunkami, prawami i moralnemi pojęciami. Swe poglądy wypowiadał w pracach literackich, dawał sprawozdania prawdziwe, okrutnie prawdziwe, nieraz przerażająco prawdziwe, często niebezpiecznie prawdziwe, ale zawsze — prawdziwe. Raz używał powieści, to znów dramatu, aby przed oczy

*

społeczeństwa postawić zwierciadło, w któremby wadom swym przyjrzeć się mogło.

Niektóre z jego dzieł są bezpośrednią, niekłamaną, powszechnie zrozumiałą stroną rozwodu jak np. „Księżna Jerzowa“ i „Cudzoziemka“.

Aleksander Dumas od lat wielu kuł broń przeciw istniejącemu porządkowi małżeńskiemu i nic dziwnego, że arsenał jego znalazł się zapełnionym w chwili samego wybuchu wojny.

Dumas jest powagą w tej sprawie piekącej i to niezmiernie pobudziło ciekawość ogółu, gdy się jego książka ukazała. Czterysta siedmdziesiąt stronic, a w każdem słówku myśl się ukrywa; jestto dzieło, które się sylabizujea nie czyta, aby nie stracić ani jednego słówka.

Aleksander Dumas nie jest deputowanym, a trybuna jego, z której swe filippiki wytacza, jest biurko, w jego wielkim, miłym, cichym gabinecie parterowym w willi leżącej przy Avenue de Villiers 98. Co z tej trybuny mówi, cały świat się temu przysłuchuje.

Nowa książka Dumasa jest napisana w formie listu do księdza Vidieu. Jestto odpowiedź na broszurę tego *abbé* zatytułowaną: »*Famille et Divorce*« zawierającą w sobie wszystkie teologiczne argumenta przeciw rowodowi. Dumas zwraca się także w swem dziele przeciw ojcu Didon, ognistemu kaznodziei, który miewa kazania w kościele St. Philippe de Roule i który w jednem z nich powiedział o Dumasie: „Nikt więcej odemnie nie podziwia jego wymowy, tak potężnej i tak skutecznej, że może go ona pewnego dnia dalej zaprowadzić, aniżeliby sam tego życzył, a przedewszystkiem dalej, niżby kościołowi to odpowiadało.“ Dumas podjął walkę z dwoma możnymi przeciwnikami.

Alfred Nacquet, deputowany z Vauclusy, jest takim szermierzem w izbie deputowanych jak Dumas w literaturze. W roku 1876 postawił on wniosek na zaprowadzenie rozwodów i od tej chwili nie przestawał go popierać wszelkiemi siłami.

Na trybunie, w odczytach, gazetach i t. p. sptykało się od tego czasu ciągle z jego słowami. Wyszukuje on w życiu smutnych dowodów na potrzebę wprowadzenia rozwodów.

Jeszcze o jednej osobie, grającej ważną rolę w tej sprawie wspomnieć należy. Jest nią Leon Rénault, który tę kwestję rozświeca ze stanowiska prawnego.

Tych pięciu wzmiankowanych ludzi, walczy z sobą i z przekonaniami społeczeństwa, z ustrojem państwowym, od lat kilku. Jedni z nich jak Vidieu i Didon chcą zatrzymać dotychczasowe prawne postanowienia, Nacquet, Dumas i Rénault zmierzają wprost w innym kierunku.

Zdaje się jednak, że zwycięztwo będzie po stronie ostatnich.

Aleksander Dumas, bez żadnych względów, energicznie zabiera się do samego jądra sprawy.

Pewnym jest swojej djagnozy i przepisuje odrazu radykalne lekarstwo.

Już od lat wielu depczę bruk paryzki, a zawsze jeszcze, kiedy widzę przechodzące oddziały wojsk francuskich, przychodzą mi myśli o upadku ras i społeczeństw. Nawet kirasjerowie, *cette élite* wojsk za pierwszego cesarstwa, nawet u nich już nie widzę nic oprócz pancerza, hełmu i pałasza. Po za tem nie widać wcale człowieka.

Jestto po prostu upadek rasy, wyrodzenie się, rozwój wsteczny.

Dumas twierdzi, iż jedynym środkiem na to jest krzyżowanie ras. Słyszałem te dowodzenia z ust jego samego i nigdy mi z głowy nie wyjdą. Było to rok temu, kiedym mu pierwszą złożył wizytę. Był słaby nieco i z domu wtedy nie wychodził.

Opisałbym z chęcią jego gabinet, ale wiem o nim tylko tyle, że ściany zawieszone są dziełami sztuki, a po środku stoi wielkie biurko, przy którem zwykle pracuje.

Mówiliśmy wtedy o jego komedji „Syn naturalny“, potem o Hernanim, potem o podróżach i tu właśnie opowiedział nam Dumas, jak jego żona, rosyjska księżniczka, wytrzymałą jest na długą jazdę. Właśnie była tylko co przyjechała z głębokiej Rosji, podróż jej trwała dni jedenaście, a mimo to zaraz po przyjeździe pojechała z wizytami. Wskutek assocjacji wyobrażeń, z żony swej Rosjanki przeszedł do sprawy krzyżowania ras ludzkich, dla ich naprawy. Doszedł do wniosku, że aby ogólnemu upadkowi zapobiedz, trzeba gwałtem otworzyć haremy wschodu, aby sprowadzić żony dla Francuzów.

Dumas powiadał, że najlepsze korzyści z krzyżowania się ras, na jego własnej rodzinie się uwidoczniają. I tu zaczął opowiadać historję charakterystyczną z życia swego dziadka, jenerała, który się urodził jako Kreol na San Domingo. Cała rodzina była rosłą, zdrową i inteligentną. Dumas twierdził, że to jest rezultatem zmięszania krwi afrykańskiej z europejską.

Do sprawy rozwodowej Dumas sie wziął z nadzwyczajną energią i bez żadnych skrupułów. To, czego kościół i biblja dowodzi, zbijane jest samą biblją, co historja, sprowadza się do historji. Autor jako literat stanął najwyżej w rozdziale o swem wyznaniu wiary i przekonaniu filozoficznem.

Vidieu nazywa rozwód: *un monstre*. Dumas powiada: „Jestem przekonany, że to monstrum jak ów indyjski słoń, gotowem jest do noszenia całego świata na swych barkach, chodzenia po ogrodach bez ich niszczenia, wykonywania najtrudniejszych i najtwardszych robót domowych, bronienia dzieci od innych zwierząt i zabawiania się z niemi.“

Dumas zakończa naturalnie żądaniem, żeby izby uchwaliły wniosek o rozwodach. Oczekuje odpowiedzi od księdza Vidieu, który nie da na siebie czekać. Dziś Paul Féval pojawił się już z książką p. t. „Point de divorce“. Publicystyczna dyskusja już jest otwartą, parlamentarna niedługo się rozpocznie, a i Watykan prawdopodobnie nie długo będzie milczał w tej sprawie.

E. Bukowicz.

O CZŁOWIEKU I PIŚMIE.

Niedawno ukazało się w Niemczech dzieło dr. Erlenmeyer'a „Die Schrift. Grundzüge ihrer Physiologie und Pathologie.“ Otóż ta praca uczonego doktora zwróciła na siebie uwagę naukowego świata i stała się przedmiotem ciekawej polemiki, w której między innymi wziął udział Karol Vogt.

Podług dr. Erlenmeyer'a „zasadniczy ruch rysów pisma jest natury odśrodkowej. Dziecię, które pierwszy raz bierze ołówek do ręki i pisze, wykonywa łuk z lewej strony od dołu, kierując go na prawo ku górze, jeśli ołówek znajdzie się w prawej ręce, gdy tymczasem łuk kreślony lew ręką postępuje od strony prawej ku lewej.“ Na tym fakcie ma się opierać mechanika sztuki pisania. Przeciw twierdzeniu temu mianowicie występuje Karol Vogt, dowodząc, iż Erlenmeyer pomięszał dwa różne pojęcia: *ruchu i rozstawienia liter*. „Ruch naszych rysów pisma“, są słowa Vogta, jest dośrodkowy, litery zaś ustawione są odśrodkowo. W piśmie więc naszem ruch i ustawianie liter są sobie wprost *przeciwne* — w piśmie Semitów — *zgadzają się* ze sobą, Ustawianie liter zostaje w związku z ruchem ramienia przedniego, podczas gdy samo wykonanie liter, ich rysunek, jest rzeczą ręki i palców“. Ta okoliczność nie zobowiązuje bynajmniej do twierdzenia, postawionego przez D-ra Erlenmeyer'a, iż starożytne narody semickie, których pismo postępuje od ręki prawej ku lewej, musiały pisać ręką *lewą*.

Ale najdrażliwszym punktem różnicy poglądu Erlenmeyerowskiego a Vogtowego jest to, iż według ostatniego, ustawianie liter oraz znaków uregulowało się pierwotnie pod wpływem zewnętrznych okoliczności a następnie zostało przekazywane drogą odziedziczenia; według pierwotnego zaś poglądu, takie ustawianie liter tkwi w organizacji człowieka i jest ono normalnem jedynie od ręki lewej ku prawej, „Jeśli to prawda — mówi Vogt — powinienby Dr. Erlenmeyer uwzględnić nietylko niezwykłość pisma semickiego ale różnicę, wschodnio-azjatyckiego szeregowania rysów pisma i linji, gdzie ustawianie znaków pisemnych idzie od góry do dołu, linji zaś od ręki prawej ku lewej“.

„Nasz sposób pisania jest *na ostatku wprowadzony*; wszystkie dawniejsze narody, które przed setkami, bo i tysiącami lat wcześniej niż nasi przodkowie używały pisma, ustawiały znaki w inny sposób.“

Zdaniem Karola Vogta pierwotne ustawianie znaków pisemnych zależy od materjału, od postawy piszącego, od kierunku światła. My piszemy w cieniu, zasłonięci przed światłem. semita — z twarzą zwróconą na wschód, mając światło na prawo, cień na lewo. Już Grimm podnosił kwestję, że Aryowie w wędrówce swej ku zachodowi mieli po prawicy północ t. j. ciemność i dla tego prawa strona pojęta została jako strona nocy w przyrodzie, strona nieszczęścia, jednocześnie zaś pisali od strony światła ku ciemności.

Odpowiadając na twierdzenie D-ra Erlenmeyera, że ustawianie liter potrzebuje kontroli oka i że w pisaniu od ręki prawej ku lewej przychodzi taki punkt, gdzie pisząca ręka zakrywa sobą to, co zostało napisane, Karol Vogt woła: »*Entendons nous Philibert!* Oczy są niezbędne do nauczenia się pisania, ale nie do wykonywania nabytej już sztuki. Kontrola oczu sprzyja tej sprawie, ale nie jest niezbędną“. Są ludzie piszący po ciemku, a uczniowie umieją pod ławką sporządzać różne notaty, nie używając kontroli oka.

„I zakrycie ręką pisma nie jest także niebezpieczne, gdyż zwykle trzymamy pióro tak, iż ono niejako tworzy wierzchołek piramidy albo stożka, wyobrażonego przez rękę, a wierzchołek ten wystaje zawsze po za palce o parę centymetrów i wszystko, co zostało napisane od ręki prawej ku lewej, jest doskonale widzialne. Piszemy, siedząc przy stole, albo siedząc przy biurku, i położywszy na niem ramię; łokieć to j. ostatnia część przedniego ramienia, tworzy punkt obrotu dla ruchu linijnego, który pierwotnie zawsze jest łukowaty, a kontrola oka zmienia go na prostolinijny; mały palec tworzy

punkt oparcia dla dośrodkowego ruchu liter. Inaczej pisze semita: ramię jego buja przy małej tabliczce, spoczywającej na założonych nogach; posuwa on ciągle tabliczkę i zachowuje ten sam kierunek osi ocznych, w którym odczytuje to, co napisał i co się pisze. Tu więc nigdy nie przypada punkt, w którymby pisma swego widzieć nie było można. Pamiętajmy, że tu nie mówi się o cywilizowanym żydzie, który pisze, jak my, ale wspomnijmy na praojców Izraela lub na beduina w namiocie swym tę sprawę załatwiającego. Kontrola oka w każdym razie jest zupełna.

„Co się tyczy Leonarda da Vinci przytoczonego przez D-ra Erlenmeyera, artysta ten przyzwyczaił się zapewne do pisma, dającego się czytać w zwierciadle i to mu się przydało. Ćwiczenia tego rodzaju nie są rzadkością, zwłaszcza u kaligrafów pracujących dla litografji, gdyż odwrotne pismo na kamieniu zawsze łatwiej wykonać lewą ręką.

„Ku pożytkowi i zbudowaniu tych, co się zajmują sprawą będącą w mowie", Karol Vogt streszcza swoje twierdzenia tak: Każdy ruch pisemny wytwarza w lewej półkuli mózgowej odpowiednie pojęcie przestrzenne, które mniej lub więcej tkwi w pamięci. Podobnež pojęcie przestrzenne budzi się i w pozornie bezczynnej prawej półkuli mózgu, ale to zostaje nieświadome. Doświadczenia, jakie Vogt robił na 20-tu osobach, miały za rezultat, iż nie znalazła się ani jedna osoba, coby przy wszelkich warunkach nie zdołała wykonywać pisma, dającego się czytać w zwierciadle; cztery osoby nie mogły tego uczynić prawą ręką i z otwartemi oczyma, trzy — z oczyma zawartemi; lewicą nie umiało takiego pisma wykonać dwoje przy otwartych a dwoje przy zamkniętych oczach. Były w tem jeszcze odmiany różne, np. jeden wykonywał pismo odwrotne tylko lewą ręką przy otwartych oczach, inny tylko lewą a z oczyma i zamkniętemi i otwartemi. Bez wątpienia pisano lewicą z większą łatwością litery odwrócone.

Przy oczach zamkniętych występowała skłonność powiększania liter. Przy otwartych oczach trzymano się w pisaniu linji prostej, przy zamkniętych piszący prawicą postępowali od dołu z prawej strony w górę ku lewej; piszący lewicą, przeciwnie.

W ogóle lewa ręka okazuje niewyraźność. Prawa pisze przy zamkniętych oczach prawie tak jak przy otwartych, lewa drży, spada lękliwie i powiększa litery, lub robi je krętowate mi.

Jeżeli więc na 20 osób, które nigdy pióra w lewej ręce nie miały, trzynaście przy zamkniętych oczach pisały odwrotnie bez błędu i czytelnie, a cztery tylko nieczytelnie, przeto widocznie w prawej półkuli mózgowej istnieje nieświadome pojęcie przestrzenne pisma odwrotnego, jak tylko lewica w ruch wprawiona zostaje.

Patologicznej strony dzieła D-ra Erlenmeyer'a nie dotyka wcale K. Vogt, za poruszenie zaś kwestji ze strony fizjologicznej płaci mu sowitym komplementem, jakkolwiek tak znaczne różnice w zapatrywaniu się obu uczonych istnieją.

Ad. Dygasiński.

PISMIENNICTWO POLSKIE.

(Les Nationalités Slaves, lettres au Rev. P. Gagarin par Xavier Korczak Branicki Paris 1879.)

Zmarły niedawno Ksawery hr. Branicki, miłujący zawsze Polskę i zajmujący się jej losami, pomimo przesiedlenia się od lat wielu do Francji i uzyskania tamtejszego obywatelstwa, wydał ostatniemi czasy, tuż przed śmiercią kilka dzieł rozmaitej treści, pomiędzy któremi dzieło powyżej wymienione na szczególniejszą zasługuje uwagę tak treścią, jak stylem i sposobem przedstawienia rzeczy.

Myśl napisania dzieła tego nasunęła autorowi wydana dawniej jeszcze rozprawa Gagaryna *Czy Rosja stanie się katolicką?* Rozwija on zapatrywania swe w szeregu listów do ks. Gagaryna, z którym go z lat młodości ścisła łączyła znajomość. Nie dotyka bynajmniej kwestji dogmatów. „Pogadanka moja, powiada w przedmowie, nie będzie miała cechy metafizycznej. Wypowiadając otwarcie myśli me, ograniczę się na wyprowadzeniu z dziejów ubiegłych i polityki społecznej wniosków, odsłaniających, ile się da, zasłonę przyszłych losów narodowości słowiańskich."

Niepodobna chcąc rozpatrzyć kwestję religijną w Rosji mówi dalej na wstępie dzieła swego hr. Branicki, — pominąć kwestji politycznego bytu Polski. Z tego wychodząc zapatrywania sięga on w przedhistoryczne czasy słowiańszczyzny pierwotnej i na podstawie źródeł kronikarskich, służących mu za wskazówkę, kreśli pobieżnie a przystępnie obraz geograficznego rozpołożenia szczepów słowiańskich i ich dziejowego rozwoju, Rosję normandzką i tatarską, Polskę piastowską, epokę Kaźmierza, króla chłopków, zastanawia się obszernie nad przebiegiem i skutkami reformacji w Polsce. — Następnie podaje wizerunki cesarza Pawła, Aleksandra I., wielkiego Księcia Konstantego, owego na pół dzikiego tyrana Polaków, i kończy tę, na dość, jak widzimy szeroki i oryginalny rozmiar zakreśloną rozprawę, obrazem dzisiejszego nihilizmu moskiewskiego, którego śledząc pochodzenia, i przyczyn, sięga do dawniejszych dziejów Rosji i począwszy od Iwana groźnego wykazuje wylęgające się zwolna ale tem zgubniej z nieuniknioną koniecznością zarody jego pod naciskiem barbarzyńskiego despotyzmu i stosunków, wpływających na urabianie się społeczeństwa moskiewskiego.

Dzieło niniejsze czyta się z wielkiem zajęciem, a jakkolwiek pierwsza część obejmująca przebieg dziejów polskich dla nas, co dzieje te znamy, a przynajmniej znać powinniśmy dokładnie, niezawiera rzeczy nowych, to część druga, w której autor skreśla wizerunki carów Pawła, Aleksandra I., Mikołaja, i Wielkiego księcia Konstantego, tudzież charakterystykę ich rządów, zawiera wiele ciekawych i nowych szczegółów, zebranych bądź z podania, bądź z osobistych wspomnień autora, który młodość przepędził w wojsku rosyjskiem, w sferach, gdzie mógł obficie szczegółów tych zaczerpnąć. Jest to najbardziej zajmująca część książki. I tak pomiędzy innemi dowiadujemy się tutaj, że cesarz Aleksander I. nosił się na prawdę z myślą przejścia na wiarę katolicką, a nawet już ją potajemnie wyznawał i wchodził o to z Rzymem w układy; znajdujemy szczegóły wykrycia spisku Pestla przez jenerała Witta, jeszcze za życia Aleksandra I., który otrzymawszy to doniesienie w Taganrogu lekceważył je na razie, i wiele innych podobnych.

Z tego co tu powiedzieliśmy, powezmą czytelnicy wyobrażenie, jeżeli nie o całej tendencji i szczegółowem na wiele rzeczy zapatrywaniu się autora, to przynajmniej o treści dzieła, które ma i tę ważną stronę że, jako napisane po francusku i rozpowszechnione za granicą, obznajomi cudzoziemców z wielu szczegółami dotyczącemi dziejów naszych i ze stosunkami dzisiejszemi w Polsce i Rosji. *Wł. Zaw.*

* *

Złamane serca, powieść przez AJO. Rogosza w dwóch tomach. Lwów 1880.

Powieściopisarstwo tak się bujnie u nas rozwinęło, dzięki inicjatywie J. I. Kraszewskiego i Korzeniowskiego, i tyle już piór znakomitych uprawiało to najpontniejsze dla szerokich kół czytelniczych pole piśmiennictwa, że każdy autor z nową występujący powieścią, ma przed sobą trudne spółzawodnictwa szranki i musi się liczyć z wysoko posuniętemi wymaganiami smaku. Świeżo wydana powieść AJO. Rogosza pod powyżej wymienionym tytułem posiada zalety podnoszące ją do rzędu lepszych tego rodzaju u nas utworów. Autor przedsięwziął sobie roztoczyć przed okiem czytelnika dzieje walki jakie przebywać muszą ludzie tkliwszych i podnioślejszych uczuć, trzymający się ściśle drogi sumienia i honoru, z samolubstwem, interesownością i intrygą światową. Dusze piękne, czyste charaktery, jeżeli nie upadają fizycznie pod brzemieniem tej walki, usuwając się od niej pod darń mogilną, to wychodzą z niej ze spokojem rezygnacji, silniejsi moralnie, ale ze *złamanem sercem* i niepowrotnie utraconą przyszłością. Temat ten rozwija się tu w opowieści żywym nałożonej kolorytem. Do ożywienia i urozmaicenia treści przyczynia się i to, że pierwsza część powieści odgrywa się w Anglji i w Indjach wschodnich, w pośród mniej znanych nam stosunków, tamtejszego tak odmiennego świata, w pośród którego burza losu, rzucone serca tułacze biją, cierpią i tęsknią do zagrody ojczystej, do polskiej strzechy.

W dalszym ciągu powieści przenosi nas autor do Polski, i dramat rozpoczęty pod obcem podniebiem, rozgrywa się już w Polsce, częścią na wsi w okolicach Warszawy, częścią we Lwowie. Tu występują na scenę typy społeczeństwa naszego wybornie przedstawione, jakby wprost z natury żywcem fotografowane, jak naprzykład doskonale naszkicowaną jest postać poczciwego a lekkomyślnego w najwyższym stopniu szlachcica wioskowego, który pomimo swej poczciwości, nieoględnością gubi majątek swój i swej rodziny, typ jakich niestety! tak wiele u nas da się naliczyć. Wszystkie zgoła charaktery tej powieści są z wielką prawdą ujęte i przeprowadzone, układ jej obmyślany artystycznie, a styl wdzięczny prostotą, znamionuje biegłe literackie pióro, nie jest jednak wolny od niektórych rażących germanizmów, jakich unikać należy.

Wł. Zaw.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Fakultet medyczny we Lwowie. Koncerty Brahmsa i Joachima. Wieniawski o Joachimie. Nowa opera Jareckiego. Nowiny literackie Jak się w Krakowie bawią? Nowe krakowiaki.)

Sprawa fakultetu medycznego w uniwersytecie lwowskim wprawdzie powoli, żółwim krokiem ale zawsze naprzód się posuwa. Na-

przód Rada Państwa uchwaliła przychylną rezolucję, a teraz komisja budżetowa przyjęła wniosek pana Hausnera i wstawić ma do budżetu pozycję na otwarcie tego wydziału od października b. r. Nie jest to jeszcze ostateczne rozstrzygnięcie sprawy, bo niewiadomo czy rząd będzie czuł potrzebę zastosowania się, ale zawsze dobry to już symptomat.

Wydział medyczny jest nam koniecznie potrzebnym, raz do uzupełnienia wszechnicy, bo jakaż to jest *Universitas,* gdzie nie wszystkie działy wiedzy ludzkiej są reprezentowane, a potem dla wzmocnienia i pobudzania wydziału filozoficznego, który teraz ma liczne i trudne do zapełnienia luki. Dwa te wydziały są tak ściśle z sobą złączone, że podniesienie jednego, ciągnie za sobą bezpośredni rozwój drugiego.

Panu Hausnerowi za ciągłe, energiczne, przekonywające popieranie tej myśli, należy się wdzięczność kraju.

* * *

Było to w czasie wystawy paryskiej:

W wielkiej sali Trocadero odbywały się koncerta muzyki międzynarodowej. Z naszych artystów brali w nich udział przeważnie skrzypkowie. Grał Henryk Wieniawski i Barcewicz, a zgromadzona publiczność przyjmowała ich entuzjastycznie.

Kiedym się z nimi spotkał w ubocznej sali, po zwykłych komplementach rozmawialiśmy o wirtuozach różnych rodzajów i przyszła rozmowa na skrzypków żyjących. Wieniawski ma wielki dar opowiadania, więc słuchaliśmy go ze szczególnem zajęciem. Mówił o dawnych mistrzach smyczka, opowiedział parę anegdot o Lipińskim, a potem ktoś obecny niedyskretnie zapytał go:

— Kogo pan uważasz za najlepszego ze skrzypków obecnie żyjących?

— Joachima — odpowiedział bez wahania. — Ten człowiek ma w swojej grze coś takiego, co się opisać nie da, a co ocenić zdołają ci, którzy sami są wirtuozami. Człowiek ten łamie nadzwyczajną trudność, dokazując cudów w wykonaniu, nie na to, aby zrobić efekt, ale owszem, żeby tych efektów nie spostrzeżono, żeby nadać grze spokój niezrównany. Słuchając jego, nie widzi się wcale tego, który gra. Zdaje się, że skrzypce same, jakby rozumna jaka machina, nie zważając na żadne fizyczne przeszkody, interpretują myśli kompozytora. Ten człowiek jeden może bierze swe powołanie wirtuoza na serjo.

Te słowa naszego mistrza, ktory złożony jest teraz niebezpieczną chorobą, doskonale charakteryzują Joachima, którego w tym tygodniu słyszeliśmy we Lwowie; nic do nich dodać nie mamy, chybabyśmy się rozpisali o naszych subjektywnych wrażeniach.

Większa część koncertów lwowskich przeznaczoną była na poznajomienie naszej muzykalnej publiczności z kompozycjami Brahmsa, który wraz z Joachimem przyjechał i występował jako wirtuoz na fortepianie. Brahms nie dosyć jest u nas znany. Zaledwie kilka mniejszych i śpiewniejszych rzeczy, a między niemi owe cudne „Tańce węgierskie" są w ręku wszystkich grających. A jednak jenialny ten kopomzytor zasługuje na bliższe poznajomienie. Reprezentuje on najbardziej poetyczny i najzdrowszy kierunek w szeregu niemieckich maestrów. Daleko lepiej niż na koncercie, potrafiliśmy jego ocenić w prywatnem kółku, gdzie grał swój koncert na fortepian ze skrzypcami, a dzieło to zrobiło na wszystkich potężne i porywające wrażenie. Szczególniej ostatnie *Allegro* z marsowym zakrojem, jako łatwiej zrozumiałe, przyjęte było z entuzjazmem.

Takiej uczty muzykalnej, jak na tych koncertach, Lwów dawno już nie miał, i cieszyło nas to zajęcie, które wobec nich okazał. Sale były formalnie natłoczone.

* * *

Kiedy mowa o muzyce, to zostańmy jeszcze chwilkę przy niej. Mamy się podzielić bardzo miłą nowiną. Utalentowany i sympatyczny dyrygent opery naszej, p. Jarecki, napisał operę p. t. *Mindowe,* której libretto wzięte jest z dramatu Słowackiego. Słyszeliśmy od artystów, którzy w wystawieniu tej opery udział wziąć mają, że jest to dzieło wielkiej piękności i że zajmie w naszej literaturze muzycznej wybitne stanowisko. Libretto ma uledz jeszcze pewnym poprawkom, ale w większej części zostaną tam nietknięte słowa Juljusza.

Zapowiadają operze tej wielkie powodzenie.

* * *

Nowiny Literackie. Hr. Aleksander Fredro napisał nową komedję p. t. „Pan Alfons." Sztuka ta, jak sobie życzył autor, odegraną zostanie na korzyść ludności szląskiej dotkniętej klęską głodową. Równocześnie z p. Fredrą skończył nową pracę dramatyczną p. Aureli Urbański. Jestto dramat jednoaktowy p. t. „Dramat jednej nocy" osnuty na tle powstania z r. 1863. W tym tygodniu odczytał go autor w gronie artystów i literatów. Za Atlantykiem w Chicago nakładem drukarni W. Dyniewicza opuściła w zeszłym roku prasę książeczka Nadbużanina p. t. „Józef Koniuszewski, wspomnienie z czasów prześladowania Unitów na Podlasiu." Jest to. o ile nam się zdaje drugie dziełko beletrystyczne, wydane w języku polskim w Ameryce, przed kilku bowiem tygodniami otrzymaliśmy drukowaną także w Chicago humoreskę J. Horaina p. t. „5 P—3 R."

* * *

W Krakowie się bawią, aż nas zazdrość bierze.

Przez cały karnawał słyszeliśmy o ciągłych zabawach w Krakusowym grodzie. Znać, że tam weselej, że lepiej niż u nas, że nie ma trosk tak wielkich, że się wreszcie znajduje nieco bliżej... Europy.

Niektóre z zabaw były oryginalne, jak ów bazar wielki w Sukiennicach. Inne ochocze, jak zwykłe krakowskie doroczne bale. Słowem bawiono się, co się nazywa. Te rozrywki zakończono kuligiem, który w strojach ludowych z kapelą zawitał do mieszkania prof. hr. Tarnowskiego na Szlaku.

U profesora poezja ludowa zakwitła w nowych krakowiakach, które parami, krzesząc ognia z podkówek, wyśpiewywano. Czytając te piosenki, przyszły nam do głowy różne uwagi o tem, jak to wszystko na świecie się zmienia, jak się rozwija, podlega postępowi. Dawniej krakowiak nucił o byle czem, aby tylko wesoło a serdecznie. Spiewano:

Tylem razy westchnął
Dziewczyno do ciebie,
Żeby tak do Boga
Byłbym dawno w niebie.

Albo:

Kieby ja miał cztery czeskie
Kupiłbym-se dziewczę łepskie
A że nie mam ni szeląga
Muszę pojąć lada drąga.

W Krakowie zmieniono nieco nastrój. Dzisiaj spiewają:

Arcyksiąże Panie!
Arcyksiężna Pani!
Czołem wam bijemy,
Wszyscy tu zebrani.

Albo:

Arcyksiężna Izabela
Co widziała świata wiela,
Krakowiankę nam powiła —
Narodowi będzie miła.
A Fryderyk Arcyksiąże
Łaska nas do ciebie wiąże,
Niech nam za to sto lat żyją
Miodek polski zdrowo piją.

Rymy w tych krakowiakach użyte przypominają nam nadwornego wieszcza hotelu Lambert, który gędził:

Izka! Izka!
Czartoryska
I z figury i z nazwiska
Tronu blizka.
Ani słowa! Ani słowa!
To królowa.
To królowa.

Przechodząc do sfer niższych, kuligowi goście spiewali do prof. Tarnowskiego:

Widziałem na ławie (?) nie jednego Pana
Ale na katedrze to rzecz niesłychana.

Na jakiej *ławie?* Są przecież różnego rodzaju: jest ława oskarżonych, ława w zajeździe i wiele innych. O jakiej tu była mowa?

TEATR.

(»Niepoprawni« na scenie lwowskiej.)

Niechaj pedantyczni akademicy rzucają gromy na niedokładność struktury w tym utworze poety; nic mu one nie zaszkodzą. Chociażby nawet i osmaliły nieco czoło tego posągowego dzieła, pozostanie ono na zawsze chlubą naszą. Łamanie się akcji, to znów dramatu, niedopuszczenie głównych osób do przeprowadzenia konsekwentnego tej akcji do końca, użycie do patetycznego momentu sztuki osób, nie wchodzących wcale na scenę i to użycie ich w sposób płaski, trywialny, szkodzi oczywiście utworowi o tyle, że go arcydziełem, jakiego nie bywało, nazwać nie możemy; ale postacie tam wprowadzone, ich wykończenie każdej z osobna i powiązanie śmiałe a tak misterne śmiesznego z tragicznem w dwóch osobach głównych, to istotnie coś niebywałego dotąd w żadnej literaturze. Niestety! Juliusz nadto prędko nas opuścił. Nie stało mu czasu do uchylenia tych usterek, któremi dziś wojują przeciw pamięci jego uczeni i niedouczeni wrogowie. Ujmę jaką mu ich skalpel z utartych formułek przynieść może, wynagrodzi dostatecznie świat miłości, co ponad zarzutami przechodzi do porządku dziennego i na głowę jego kładnie aureolę serdecznych zachwytów. Mniejsza o to, czy tytuł dorobiony odpowiada lub nie charakterystyce osób, czy porwanie zakulisowe *»nowej w czepcu straszliwej Dejaniry«,* razi smak estetyczny, mącąc bezpotrzebnie uczucie piękna niskością pomysłu, a zarazem nawracając bieg akcji na komizmu ścieżkę, którą już porzuciła w akcie drugim, w całym rynsztunku dramatycznym występując; — mniejsza że major wprost przeciwnie swoim sympatjom działa, nakazując sołdatowi, porwanie Idalji, i za wielką składa ofiarę, bo życie swoje, za nieproszoną gorliwość w usłudze, że i t. d. i t. d.!

Wszystkie te usterki nikną jak mgła w obec piękna scen pojedyńczych, wykończenia figur i psychologicznej głębi. Nie jesteśmy w możności przy-

toczyć wszystkich przecudnych miejsc utworu i odpowiednio je ocenić; bo na to potrzebaby tomów, tyle tam nieprzebranych skarbów w każdym wierszu, w każdym ustępie. Odsyłamy czytelników do książki dla bliższego zapoznania się z poematem na przedstawieniu którego, niestety! pusto było i głucho w teatrze. Kto wie, czy przyczyna tej absencji publiki nie leży w tem, iż mało kto czytał dotąd „Niepoprawnych“; w takim razie zachęta jaką dajemy do poznajomienia się z dziełem wielkiego poety naszego, będzie na czasie.

Co do gry artystów, wszyscy z małemi wyjątkami, złożyli świetny dowód swojej inteligencji, uplastyczniając myśli poety tem samem delikatnem, misternem cieniowaniem, jak i sięgającem do głębi dotknięciem ręki, z jakiem były tworzone.

Na pierwszem miejscu postawić musimy Fantazego i Idalję, te dwie natury szlachetne, wzniosłe, nie tylko pozycją w świecie ale i duchem arystokratyczne, pełne poezji przesiąkłej bajronizmem, niegodzące się z realną rzeczywistością, której wszystkie nędze widzą dokładnie swym umysłem wysoce wykształconym i której okazują pogardę mającą źródło w przesyceuiu się życiem; komizm jakim je autor powlekł, jest tak subtelnej natury i z taką odwagą pewną siebie, użyty, iż to samo jest już dowodem niezrównanego mistrzowstwa w autorze.

Fantazy to postać, której niejako model żywy miał autor przed oczyma w osobie współczesnego mu, a wielkiego również poety; artysta grający tę rolę do złudzenia uwidocznił to zewnętrzną charakterystyką. Dla czego autor wziął go sobie za przedmiot swojej szlachetnej zabawki, nie wchodzimy w przyczyny, dość że pomysł i wykonanie postaci świetne, jakiego dotychczas nie było. Myśl rwie się szalonym pędem aby nie pominąć najdrobniejszej niteczki w tej tkaninie delikatnej, ażurowej, dzierganej na kształt haftow koronkowych w marmurze, któremi się pysznią i słusznie lodżje pałaców weneckich, a tymczasem redaktor stoi za plecami i targa tę przędzę cudną swojem niemiłosiernem „Prędzej, prędzej a nadewszysko zwięźle!“ Lecz przecież to nie jubileusz Słowackiego aby cały numer „Tygodnia“ tylko nim wypełnić! Trzeba przecie zostawić miejsce i dla innych ważnych spraw żądnych wyjścia na świat Boży. Ha, trudna rada, dalej więc, prędko i zwięzle.

Nadarzy się może później sposobność szerszego rozpisania i zaspokojenia serdecznej potrzeby.

W grze p. Ładnowskiego i pni Nowakowskiej nie było ani jednego dysonansu psującego ogólne wrażenie, ale prosimy o więcej jeszcze ciepła dla autora, aby kryształy tych dwóch figur przedstawiły się oku widza bez najmniejszego pyłu niedokładności.

P. Zboiński zasłużył sobie przedewszystkiem na podziękowanie za wybór sztuki na benefisowe przedstawienie. Jego Major był wybornym typem serdecznej natury, pierwotnego syna gór kaukazkich, w niewolniczej służbie caratu zatracającego cokolwiek ze swej godności człowieczej, którą rad odkupia poświęceniem się za wielkiem nawet. Trochę więcej życia w objawach serdeczności nie zaszkodziłoby roli.

Pni Ładnowska w roli Djanny dała nam miarę talentu swego, któremu niedostaje nic oprócz dalszej pracy i odpowiedniego dla niej pola, aby rozwinąć się znakomicie i dojść tam gdzie z artystą tylko dysputa jest możliwą co do pojęcia, przed wykonaniem schylając głowę.

W jednej długiej tyradzie wypowiedziała nam całe dzieje serca i umysłu dziewicy polskiej, którą miłość i wiatr ostry Sybiru obdarzyły hasłem duszy bohaterskim, zdolnym skłonić ją do poświęcenia swego uczucia, zadania gwałtu najwznioślejszemu instynktowi serca, dla obowiązku i dobra biednej współbraci wieśniaczej. Artystka wywarła tak silne wrażenie, iż publiczność wywołała ją po dwakroć po tej scenie i mimo, że więcej już ani słowa w całej scenie nie przemawia widziała ją ciągle żywą przed oczyma w akcji jako główną bohaterkę. Niechby tylko dyrekcja nie używała pani Ładnowskiej do ról jej nieodpowiednich, co często się zdarza, zwłaszcza w komedjach, podczas gdy inne artystki mają prawo czuć się pokrzywdzonemi, lecz dawała jej role nastroju Dyanny, które tak często w niewłaściwych rękach spoczywają — to, przy tak widocznym i szybkim rozwoju talentu, pani Ładnowska, zajęłaby jedno z miejsc najwybitniejszych na scenach polskich.

Panu Woleńskiemu serdecznie powinszować musimy roli Jana, tyle tam było głębokiego uczucia w jego żalu, rozpaczy szukającej odpływu aż w dzikiej piosneczce sołdackiej, że doprawdy artysta sprawił nam niezwykłą przyjemność, zwłaszcza, że od pewnego czasu dawało się spostrzegać w grze jego niejakie zaniedbanie. W śpiewie tylko życzymy sobie trochę więcej dzikich tonów pomięszanych z boleścią a nie z tkliwością i smutkiem samym. Rozpacz wyjdzie wtedy z piersi jeszcze potężniej i więcej przejmująco.

Pani Aszpergerowa w rolę hr. Respektowej, zamało nieco wlała komicznego pierwiastka. Rola ta wymaga tego koniecznie, ale ma się rozumieć w znaczeniu wyższem a nie płaskiem.

Pan Zamojski niech nam wybaczy; cenimy go bardzo wysoko, to też do niego większą przykładamy miarę. Jako hr. Respekt zawiódł nasze oczekiwanie co do pojecia roli. Hr. Respekt, to człowiek zwykły, pospolity, na pozór niezły i nie dobry, skłonniejszy wszakże do złego, bo dla utrzymania domu na odpowiednej swoim widzeniom stopie świetności, poświęca szczęście całego życia swej córki, oby tylko uratować przed światem pozory. W zwykłych warunkach życia trzeźwy, ostrożny a przedewszystkiem giętki. Dowodem tego łatwy powrót z Sybiru, gdzie się dostał zapewnie mimowolnie wplątany za jakąś bagatelkę antirządową. Respekt nie marzy na wzór Fantazego lub żony swojej dobierać wyrażeń i zwrotów mowy niezwykłych, podnioślejszych, i czynić to w dobrej wierze. On szydzi z górnolotnego stylu, bo go ma do przesytu w ustach swej połowicy. Pieszczotliwość, jakiej artysta używa w tym razie, jest wprost przeciwną intencji autora i czyni z Respekta tylko sobowtóra swej żony. Jego wybitną cechą jest ułomność moralna, kwalifikująca się pod kodeks sumienia. Jego giętkość świadoma celu, każe mu ze załzawionemi oczyma a uśmiechem na ustach, w obawie utraty bogatego zięcia, chwytać go w ramiona podobne do „Laokontowych wężów“. Dla tego człowieka najwyższem nieszczęściem — niedostatek. Ot zwykła, codzienna figura. Trochę oglady światowej, to jedyny jej przymiot. Zresztą na zewnątrz serdeczny, wylany, ale poczciwość jego podejrzanej nieco natury.

Pani Wisnowska rolę Stelli, tego trzpiota pełnego uroczej naiwności, grała na zwykłą modłę, jaką stosują do ról tego rodzaju. Tym rolom panna Wisnowska chce się poświęcić, idąc w ślady niezapomnianej u nas dotychczas Romany Popiel. Szczęść Boże! Ale aby dojść daleko, trzeba pracować ciągle i nie ustawać w pracy. W Stelli uwidocznionego postępu nie widzimy. Brak miejsca każe nam streszczać się, więc jedną tylko małą uwagę zrobimy. Żądamy więcej dziecinnej, naturalnej trzpiotowatości, więcej serca i prawdy kryjącej udawanie, które, chociaż leży w naturze aktorskiej, jednak ani jednym tonem nie powinno psuć illuzji. W tem leży cały artyzm.

Pan Fiszer jako Rzecznicki, zupełnie nas zadowolił. Pojął on doskonale stosunek swój do Fantazego. Jedno tylko niech nam wolno będzie powiedzieć: ubiór był niewłaściwy. Rzecznicki chcąc się z korzyścią dla siebie obracać w świecie Fantazego, musi przedewszystkiem dbać o swoją powierzchowność, więcej niż ten, z którego sadu dostatków i stosunków, złote jabłka dla siebie zrywa.

Pan Podwyszyński w małej roli księdza Logi, nie pozostawiał nic do życzenia.

Para służących nie popisała się wcale. W takich utworach najmniejszy drobiazg powinien być powierzony wytrawnym siłom, bo nic łatwiejszego, jak popsuć wrażenie najpiękniejszych scen jednem słowem bezmyślnie wypowiedzianem. Tylu artystów znanych a szanujących sztukę było niezajętych w przedstawieniu, czemuż im nie przydzielono tych małych ale znakomicie pomyślanych rolek. Wystawa była dobra. Ostatni akt przy świetle księżyca malowniczo się przedstawił. Obraz przy śmierci majora, był nieco zepsuty, przez niepewnego swego zadania statystę, udającego kałmuka ze szkatułą.

G.....la.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Brackel F.* Nora, powieść przekład z niemieckiego, przez Marję Annę 8-ka str. 293. Lwów 1880. 2 zł. 40 ct.

— *Hołowiński ks. Ignacy.* Miesiąc maj poświęcony Najświętszej Marji Pannie. Przerobiony z włoskiego dla użytku Polaków 16-ka str. 213. Kraków 1880. 30 ct.

— *Kosiba dr. prof.* O estetycznej wartości poetycznych utworów Adama Mickiewicza 8-ka str. 13 Jasło 1879. 20 ct.

— *Kosiba dr. prof.* O rozwoju myślenia 8 ka str. 39. Kołomyja 1879. 30 ct.

— *Kraszewski J. I.* Stara baśń, powieść z dziewiątego wieku. Ilustrował E. M. Andriolli. Wydanie jubileuszowe, z portretem autora 4° str. 432. Warszawa 1879. Ozdobnie oprawne. 16 zł.

— *Mocnik dr. F.* Początki geometrji, z niemieckiego przełożył Tomasz Sternal. Oddział I. z 153 drzeworytami w tekście. Wydanie czwarte poprawione 8-ka str. 107. Lwów 1880. 60 ct.

— *Pamiętnik* Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu tom XI. 4°. Paryż 1879. 12 zł.

— *Orzeszkowa E.* Patrjotyzm i kosmopolityzm. Studjum społeczne 8-ka str. 231. Wilno 1880. 2 zł.

— *Serce żelazne* i serce złote, powieść przełożyła z niemieckiego Janina z hr. Załuskich Łozińska 8-ka str. 218. Lwów 1880. 1 zł. 50 ct.

— *Żywoty Świętych.* Wieki prześladowania I. 8-ka str. 78. Kraków 1880. 15 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

⁂ Znakomity nasz powieściopisarz Henryk Sienkiewicz (Litwos), którego dzieła tłumaczy obecnie na język francuski pani Marguerita Poradowska, mieszkająca we Lwowie, zdobył sobie ogromny rozgłos zagranicą. Dotychczas pani Poradowska przetłumaczyła dwie jego nowelle t. j. „Janka Muzykanta“ i „Pamiętniki korepetytora“, z których pierwsza drukuje się już a druga drukować się będzie w wychodzącem w Brukselli zbiorowem piśmie „Revue de Belgique“. „Janko Muzykant“ przed ogłoszeniem w powyższem piśmie czytany był na posiedzeniu redakcji oraz na zebraniu tak zwanej „Societé Laurent“, urządzającej odczyty dla robotników; jak zaś głębokie wrażenie wywarła nowella ta na słuchaczy, świadczy o tem następujący ustęp listu założyciela tego towarzystwa, p. K. Buls, do pani Poradowskiej.

„Przed rozpoczęciem mojego odczytu, powiada p. B. uprzedziłem słuchaczy, że opowiadanie to jest bardzo smutne, a gdy odczyt skończyłem, słuchacze przez chwilę milczeli pod wpływem wzruszenia, a potem rozległy się w olbrzymiej sali jednomyślne i frenetyczne oklaski. Członkowie komitetu towarzystwa otoczyli mnie, winszując odkrycia tej drogocennej perły, żądając, abym ją ogłosił drukiem co najprędzej, i wyrażając żywe pochwały dla tłumacza, który z takim wdziękiem i prostotą umiał oddać piękność polskiego oryginału... Aby nie zgubić przypadkiem drogocennego rękopismu pani, kazałem go przepisać, a gdy kopista odniósł mi swą robotę oświadczył ze wzruszeniem, że doszedłszy do śmierci biednego Janka musiał przerwać pracę, gdyż „oczy jego były pełne łez a serce biło gwałtownie“. Im więcej się wczytuję w rękopism, tem więcej piękności w nim odkrywam; nowelka ta jest bowiem prawdziwem arcydziełem, a początek jej prosty, niemal rubaszny, uwydatnia tylko delikatność uczuć, która się w dalszym toku opowiadania objawia. Autor jest znakomitym mistrzem i umie z niezrównaną maestrją zainteresować czytelnika, i stopniowo podnosić jego zajęcie... Spodziewamy się, że powodzenie „Janka“ zachęci panią do poznajomienia czytającej publiczności francuskiej z innemi pracami tego autora, i z góry zapewniam, że przyjęte tu one będą z uznaniem, na które ten niepospolity talent zasługuje“.

Sztuki piękne.

*** Znany artysta-rzeźbiarz, Weloński, przebywający w Rzymie, wykończył ostatniemi czasy popiersie Siemiradzkiego.

Biust tén, wykonanie którego ma się odznaczać zaletami wielkiemi, umieszczony zostanie wkrótce na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie.

*** Cyprjan Godebski pracuje nad projektem pomnika dla Mickiewicza.

*** P. Ostrowski wykończył grupę przedstawiającą „Halkę i Jontka“.

*** Karol Kloss, utalentowany rzeźbiarz, twórca „Tarpei“, wykona posąg w naturalnej wielkości Marji Derynżanki.

Artystka odtworzoną zostanie w postaci „Balladyny“ Słowackiego.

P. Kloss dzieło swe postanowił ofiarować do muzeum w Sukiennicach.

*** Do muzeum w Sukiennicach ofiarowali obrazy: Władysław Malecki — „Bociany“, Ludwik Kurella — „Chrzciny“.

*** Na miesiąc czerwiec pan Krywult z Krakowa, który posiada bardzo liczny i doborowy zbiór pięknych obrazów wszystkich naszych polskich malarzy — obiecuje zjechać do Warszawy i takowe na cel dobroczynny wystawić.

Między innemi zwracają tam uwagę dzieła Matejki, dwa skończone szkice Kossaka, Pruszkowskiego, „Nimfy“, „Piast“ i ostatni niezmiernie oryginalnie pojęty i doskonale przedstawiony, wyobrażający Anhelego.

Dalej obrazy wszystkich młodych malarzy: Koniuszki, Żmurki, Benedyktowicza, Wyczółkowskiego i innych.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Od czcigodnego J. I. Kraszewskiego otrzymujemy następujące pismo:

„Z powodu licznych do mnie odezw o udzielenie stypendjum i pomocy dla uczniów, widzę się w konieczności oświadczyć, że takowymi rozporządza komitet z osób uproszonych złożony i że żadne fundusze tego rodzaju, w moich rękach się nie znajdują.

Drezno, 2 lutego 1880.

„J. I. Kraszewski.“

*** W grudniu r. z wydobyto w Galicji 107,387 cetnarów metr. soli, a sprzedano 99,813. W tymże miesiącu roku 1878 produkcja dosięgła 106,381, a sprzedaż 97,854 metr. cent. Produkcja soli w r. 1879 była o 1,006 a sprzedaż o 1,959 metr. cetn. większa, niż w grudniu roku 1878.

*** W Brukselli, czynią się wielkie przygotowania do obchodu pięćdziesiątej rocznicy niepodległości Belgji. Uroczystości nastąpią we wrześniu r. b. Urządzony będzie potrójny pochód, w którym zostaną przedstawione gminy Arteweldu; grupa siedmnastu prowincyj z uosobieniami począwszy od Filipa Pięknego do Marji Teresy; pochód wozów i emblematów zdobyczy pokojowych Belgji od 1830. Dziewięć wozów przedstawią: Wolność belgijską, Rolnictwo, Przemysł, Handel i Żeglugę, Koleje żelazne, Sztuki i Literaturę, Prasę, Miłosierdzie i Belgję niepodległą.

ROMEO I JULJA.

Pod tym tytułem wyszedł świeżo francuski przekład nowelli średniowiecznej Luigi da Porto, dokonany i przedmową zaopatrzony, przez p. Henryka Cochin.

Wiadomo, że wielki poeta brytyjski osnowę do swego nieśmiertelnego poematu miłości zaczerpnął z włoskiej nowelli Luigi da Porta «o dwojga zakochanych, którzy musieli umrzeć, on z trucizny, ona z nadmiernego bolu.»

Książka ta dotychczas jedna z ukrywanych troskliwie tajemnic owej drużyny, która uprawę i badanie literatury szekspirowskiej obrała sobie za cel życia, stała się teraz własnością wszystkich, pragnących ucieszyć się naiwno-rycersko-romantycznem malowidłem tej wzruszającej historji serca w jej formie pierwotnej.

Czy to malowidło piękniejszem jest od szekspirowskiego? Któżby to miał twierdzić?

Jest ono innem, niż w tragedji, a jednak pięknem.

Pięknem — bo malarz był Włoch, poeta, rycerski bohater, w którego słowach drżał i krwawił się ból własnego serca.

W Urbino, wybranej od bogów kolebce Rafaela Sanzio, współcześnie z nim, żył młody Luigi da Porto, na dworze księcia de Montefeltro.

Były to ostatnie lata XV wieku, gdy dwór w Urbino gromadził najjaśniejsze duchy Italji, gdy tradycje starożytnego rycerstwa spływały stę tutaj z młodzieńczym polotem odrodzenia.

Formy rycerskiego romantyzmu wypełniał lekki duch nowej galanterji, jak formy klasycznej starożytności, poczęły naówczas służyć celom kościoła i książęcego blasku.

Pogodna zmysłowość promieniła się w obliczu świata dla którego hełm i pancerz, wieżyce i zamki zdawały się za ciasne.

Piękność zdobyła znów powszechne uznanie, a odważny rycerz musiał być pięknym, jeżeli chciał otrzymać nagrodę miłości.

Luigi da Porto był pięknym i w usposobieniu, pełnem blasku wesołego humoru, pisał pewny zwycięztwa tryumfator swoje sonety do «uwielbianej przyjaciółki», zanim udał się na wojnę, która szpadzie jego miała zjednać sławę, jak wesołe oczy zjednały mu już — serce.

Udał się do Friulu, ażeby walczyć przeciw cesarskim i tam to brutalny cios miecza jakiegoś niemieckiego landsknechta przeciął te dni piękności i szczęścia.

Schorowany, okaleczały i pozbawiony wszelkiej nadziei dla serca, da Porto nie wrócił już do ojczyzny.

Udał się do Vicenzy i pisał tam swoje: *Lettere Storiche*, a jak nigdy niezabliźniała się jego rana, tak nigdy nie wygasła boleść za utraconą Ginevrą, tą «damą» jego serca, której powitać już nigdy nie miał odwagi.

I to płaczące, zbolałe serce stworzyło powieść o Romeo i Julji.

Romeo nawiedza bal Capulettich, pragnąc ujrzeć tam piękność, którą ściga, przebrany za nimfę, gdy obejmie maskę, budzi dokoła zachwyt: «piękność jego zaćmiewała wszystkie obecne dziewczęta i niewiasty».

Widzi Julję — zapomina o swojej damie i powiada jej, kim jest.

Przy tańcu, zwanym *la torra*, bierze lewą rękę Julji która w prawej trzyma dłoń Merkutia, «dłoń jak lud zimną zarówno w lipcu jak w styczniu», i oto tak miłość składa pierwsze swoje wyrazy:

— Błogosławioną niech będzie obecność wasza, panie, u nas!

— Dla czego ma być błogosławioną pani?

— O tak, jest błogosławioną, bo ogrzejecie mi przynajmniej lewą rękę, podczas gdy prawa w ujęciu Merkutia stała się lodem.

— Jeżeli ręką moją ogrzewam dłoń waszą, to oczy pani całują moje serce.

— Przysięgam wam, Romeo: nie ma tutaj kobiety, któraby w oczach moich wydała się tak piękną, jak wy jesteście.

— Pragnąłbym, gdybyś mi pani pozwoliła, uwielbiać wiecznie twoją tylko piękność.

Od owej chwili dzieci wrogich sobie rodów «najsłodsze spojrzenia» chowali dla siebie.

Romeo wspinał się czasem na gzyms u okna w pokoju swej damy; to znowu czekał jej widoku na ulicy, a ona otwierała w księżycowej nocy okno i patrzyła w niego.

— Romeo co tu robisz o tej godzinie?

— Co miłość mi każe.

— A jeżeli cię pochwycą i zabiją?

— Mniejsza o to, umrę tutaj, jeżeli mi dopomódz nie zechcesz, Madonno!

— Ja nie mam nic przeciwko temu, abyśmy w uczciwości mieszkali społem.

Julja wtajemnicza zatem w dzieje stosunku swego z Romeem spowiednika Lorenza i nakłania go, aby pobłogosławił tajemny ich związek.

Młodzi małżonkowie upajają się swojem szczęściem — wtem wybucha na nowo zażarty spór pomiędzy rodami Montechich i Capuletich, przyczem Romeo zabija Tybalta.

Romeo chroni się do celi Laurentego w klasztorze Franciszkanów, tam spieszy także Julja i płaczą sobie w ramionach.

— Obetnę sobie włosy i będę ci towarzyszyła jako sługa w orszaku.

Ale Romeo mógłby zabrać ją tylko «jako swoją donnę» i sam uchodzi.

Matka Julji dziwuje się bladości i smutkowi dziecięcia.

Dobra matrona sądzi, iż na blednicę twarzy najlepszym lekiem jest małżeństwo i wybiera hrabiego Lodrone na męża dla pięknej pacjentki.

Córka na tę wiadomość wybucha płaczem.

— Czegoż więc chcesz, me dziecko?

— Umrzeć — odpowiada smutna lilja.

Teraz następują dzieje zaręczyn Julji, pozornej śmierci i pogrzebu w podobny zupełnie sposób, jak w tragedji Szekspira.

Julja umówiła się z ojcem Laurentym, ażeby ten powiadomił Romea o jej planie i napisała sama list do wygnańca.

Ale nieszczęsny goniec rozmija się w drodze z Romeem, który tęsknotą gnany powrócił tymczasem do Werony.

Tu dowiaduje się o śmierci Julji i nabywa truciznę, spieszy do grobowca i obejmuje w uścisku miłości po raz ostatni swą piękną — martwą żonę.

A teraz — zanim jeszcze trucizna odniosła skutek — budzi się Julja.

Nieszczęśliwi widzą się jeszcze i w ramionach płaczącej Julji umiera Romeo, podczas gdy Laurenty otwiera bramę, aby obojga oswobodzić.

— Ach ojcze! ach ojcze! dobrze oddałeś list mój... oto leży mojego życia szczęście!

— A ty, Juljo, co myślisz uczynić?

— Umrę! — krótko odpowiada Julja.

Przez kilka minut wstrzymuje oddech w piersi, poczem z ostatnim okrzykiem, ostatniem echem gasnącego, życia pada na zwłoki Romea.

Te dwie ostatnie sceny bojaźliwsi przerabiacze historji da Porta, jak Bandelo, Francuz Boisteau i Anglicy Brook i Paynter, bądź to osłabili, jak pierwszy, bądź opuścili, jak drudzy, tak, że nie doszły do wiadomości Szekspira.

A szkoda — bo jestto jeden z najpotężniejszych obrazów boleści, i poeta angielski nieomieszkałby na tle jego zarysować i położyć pendzel geniuszu.

Że sam Szekspir nie wpadł na myśl sceny pożegnania w grobowcu, nie ma się czemu dziwić; przedmiot sam był tak bogaty i barwny, że nie wyzywał już fantazji do wysiłków w ostatniej jeszcze chwili.

Parę podanych tu luźnych próbek nowelli da Portaj powinny by zachęcić do poznania tej zmysłowo, naiwnej opowieści.

Da Porto nie był bohaterem w drużynie poetów, ale «zimna ręka Merkutia», pospiech, z jakim Julja spieszy do Laurentego, ażeby swej miłości zachować charaktar uczciwy, pomysł jej śmierci, wszystko to może prostsze, aniżeli w tragedji, ale jest także piękne — piękne jak alpejskie jezioro, nietylko w tęczowej grze zachodu słońca, ale także w spokojnym blasku południa, gdy zamiast mgły tajemniczej po dolinach krzątają się ludzie...

Treść Nr. 7.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.